



HARLEQUIN®

Gorący Romans™

Diana Palmer

Piękny, dobry i bogaty



DIANA PALMER

PIĘKNY, DOBRY I BOGATY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Meredith Johns popatrzyła smętnie na barwny pochód młodzieży świętującej Halloween. Ona miała na sobie strój jeszcze z czasów college'u. Zarabiała wprawdzie całkiem nieźle, ale na takie zbytki jak przebrania nie było jej stać. Musiała płacić świadczenia związane z domem, który wraz z ojcem zajmowali.

Ostatnie miesiące były dla Meredith szczególnie ciężkie, z trudem dochodziła do jako takiej równowagi.

Jill, jej koleżanka z pracy, zaprosiła ją na przyjęcie halloweenowe. Meredith było to nie na rękę - jej ojciec wrócił właśnie do domu po trzydniowej nieobecności - ale Jill, wiedząc o jej niedawnych przeżyciach, nie dawała za wygraną. Meredith włożyła więc jedyny kostium, jaki jej pozostał z lat studenckich, i wyszła, kierując się do mieszkania przyjaciółki znajdującego się trzy przecznice dalej. Drażnił ją ten tłum. Zła była na siebie, że uległa namowom Jill.

Ten ostatni tydzień dał jej się naprawdę we znaki i chciałyby choć na krótko zapomnieć o tym wszystkim. Ojciec nie panował nad nerwami i był wręcz nie do zniesienia. Oboje, rzecz jasna, pogrążeni byli w bólu, ale ojciec przeżywał to znacznie ciężiej niż ona. Czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. I z tej właśnie przyczyny szacowny naukowiec, profesor college'u, rzucił pracę i zaczął pić. Meredith robiła, co mogła, by skłonić go do leczenia, ale nie dawało to żadnego rezultatu, a taka kuracja wymagała zgody delikwenta. Po jakiejś awanturze trafił ostatnio do więzienia, a gdy wrócił po trzech dniach, znowu sięgnął po butelkę.

Nim wyszła z domu na tę imprezę, uprzedził ją, by nie ważyła się późno wracać. Jak gdyby często jej się to zdarzało!

Sączyła powoli drinka. Nie lubiła alkoholu i w ogóle czuła się tu niezręcznie. I wcale nie dlatego, że jej kostium przyciągał spojrzenia. Włożyła taki, jaki miała. Gdyby ubrała się normalnie, to dopiero wywołałaby powszechne zdziwienie.

Odsunęła się od podpitego kolegi, który chciał jej pokazać sypialnię Jill, i postawiła dyskretnie szklanekę na stole. Odnalazła w tłumie gości gospodynię, podziękowała jej za „miły wieczór” i, wymawiając się bólem głowy, ruszyła w stronę drzwi. Już na dworze łyknęła spory haust świeżego powietrza.

Co za banda dzikusów, pomyślała. Gęsty dym w mieszkaniu Jill drażnił jej gardło, szczypał w oczy. A łudziła się nadzieją, że przyjemnie spędzi czas. Ze może spotka kogoś,

kto pomoże jej w tej ciężkiej sytuacji. Nadzieja matką głupich! Od wielu miesięcy z nikim się nie spotykała. Raz zaprosiła na kolację pewnego swojego wielbiciela. Lecz po krótkiej rozmowie z ojcem, który, gdy był pijany, nie przebierał w złościach, ów wielbiciel wyniósł się czym prędzej. Niewielka szkoda, bo nie zależało jej na nim. I od tamtej pory dała sobie spokój z życiem towarzyskim. I tak miała roboty po uszy. Zresztą ból po tragedii, jaką przeżyła, był jeszcze zbyt świeży.

Nagle jakiś dziwny hałas dobiegł jej uszu. W tym stroju czuła się nieco skrępowana, a gdy przypomniała sobie lubieżne uwagi faceta, który zazwyczaj zachowywał się nienagannie, pomyślała sobie, że powinna była narzucić płaszcz na tę sukienkę. Miała na ogół same stare rzeczy, bo po spłaceniu kredytu i rachunków niewiele pozostawało jej gotówki. Ojciec nie pracował, nie otrzymywał znikąd żadnego wsparcia, ale ona kochała go i nie zamierzała opuścić. Była to jednak dość kosztowna decyzja.

Skrzyżowała ramiona na piersi, chroniąc się jak gdyby przed wzrokiem gapiów. Spódnicę miała krótką i powiewną, pończochy siatkowe, pantofle na wysokich obcasach, wcięta w talii bluzkę i różowe boa z piór. Włosy opadały jej na ramiona, a makijaż zrobiła sobie taki, jak przystało na zawodową tancerkę. O taki właśnie wizerunek jej chodziło. Niestety przypominała bardziej zawodową prostytutkę niż baletnicę.

Za rogiem dostrzegła dwie postacie pochylone nad kimś leżącym na ziemi.

- Co się tu dzieje?! - wrzasnęła jak mogła najgłośniej. I ruszyła w ich stronę, wymachując ramionami i wykrzykując groźby pod ich adresem.

Tak jak przewidywała, zaskoczeni jej postawą uciekli, nie obejrzawszy się nawet. Najskuteczniejszą bronią jest atak, pomyślała z satysfakcją.

Podbiegła do leżącego człowieka i przyjrzała mu się dokładnie w słabym blasku latarni ulicznych. Wstrząśnienie mózgu, pomyślała. Krew. Napastnicy uderzyli go w głowę i prawdopodobnie obrabowali. Przy pasku pod marynarką wyczuła prostokątny przedmiot. Aha, komórka, stwierdziła w duchu. Wybrała numer pogotowia, po czym podała stan pacjenta i określiła miejsce, gdzie się znajdują.

Czekając na karetkę, usiadła na skraju chodnika. Ujęła dłoń mężczyzny. Jęknął i poruszył się.

- Leż spokojnie - rzekła ostro. - Wszystko będzie dobrze. Wezwałam pogotowie. Zaraz tu będą.

- Głowa... boli mnie głowa.

- Wyobrażam sobie. Solidnie oberwałeś. Leż spokojnie. Masz mdłości? Jest ci słabo?

- Tak, niedobrze mi - odrzekł cicho.

- Nie ruszaj się. - Uniosła głowę, słysząc dźwięk syreny. Szpital znajdował się niedaleko jej domu, a więc i niedaleko stąd. Facet ma szczęście, pomyślała. Uraz czaszki zawsze jest niebezpieczny.

- Moi... bracia - szeptał urywanym głosem. - Ranczo Hart... Jacobsville, Teksas.

- Zawiadomię ich - obiecała.

Chwycił jej dłoń, jak gdyby bojąc się utraty świadomości.

- Nie... opuszczaj mnie - jęknął.

- Nie opuszczę cię. Masz moje słowo.

- Jesteś aniołem - szepnął. Westchnął głęboko i stracił przytomność, co rokowało nie najlepiej.

Karetka zakreśliła na rogu i przednie światła wozu wydobyły z mroku sylwetki Meredith i leżącego mężczyzny. Dwie osoby w białych fartuchach pospieszyły ku rannemu.

- Uraz głowy - oznajmiła Meredith. - Puls słaby, ale miarowy. Pacjent cały czas był przytomny, miał mdłości, skóra chłodna, wilgotna. Prawdopodobnie lekkie wstrząśnienie mózgu.

- Ja panią skądś znam - powiedziała lekarka. - Oczywiście! Pani jest córką Johnsa.

- Zgadza się - potwierdziła Meredith z ironicznym uśmiechem. - Jak widać, jestem znana.

- Nie tyle pani, co ojciec - sprostowała lekarka, przyglądając się dziewczynie.

- Niestety. Ostatnio ojciec sporo czasu spędza w ambulansach.

- Co tu się wydarzyło? - zapytała, zmieniając temat.

- Była pani świadkiem zdarzenia?

- Krzyknęłam i spłoszyłam dwóch facetów, którzy pochylali się nad nim. Ale nie mam pojęcia, czy to właśnie oni na niego napadli. Jak pani ocenia jego stan?

- zapytała, gdy lekarka zbadała pobieżnie leżącego mężczyznę.

- Wstrząśnienie mózgu, oczywiście. Żadnego złamania, tylko guz na głowie wielkości naszego długu państwowego. Bierzemy go. Jedzie pani z nami?

- Tak, pojedę - odparła Meredith, gdy sanitariusze umieszczali pacjenta na noszach. Wciąż był nieprzytomny. - Tylko że jak na szpital nie jestem odpowiednio ubrana.

Lekarka obrzuciła ją wielce wymownym spojrzeniem.

- Mogę wiedzieć, dlaczego występuje pani w takim stroju? Czy pani szef wie, jak dorabia pani sobie do pensji? - zapytała z wrednym uśmiechem.

- Jill Baxley urządziła przyjęcie z okazji Halloween. Zaprosiła mnie.

Kobieta zmarszczyła czoło.

- Imprezy u Jill mają złą sławę. Nie wiedziałam, że lubi pani pić.

- Mój ojciec pije za nas oboje - odparła dziewczyna. - Ja ani nie piję, ani nie biorę prochów. Zastanawiałam się, czy w ogóle tam iść. I szybko ulotniłam się z jej domu. W drodze powrotnej natknęłam się na tego człowieka.

- Miał szczęście - mruknęła lekarka. - Gdyby nie pani, mógłby nie doczekać rana.

Meredith usiadła na bocznej ławce, kierowca za kółkiem, a lekarka w tym czasie zadzwoniła do pełniącego ostry dyżur szpitala.

Zanoszą się na to, że spędzą poza domem noc, pomyślała Meredith. Dostanie jej się od ojca, gdy wróci tak późno. Przyszła jej na myśl matka, która uwielbiała wszelkie imprezy, bawiła się często do rana i nierzadko z innymi mężczyznami. Po ostatnich wydarzeniach ojciec rozpamiętywał to jej zachowanie. I jak gdyby skupiał teraz na córce całą złość za błędy swojej żony. Gdy ona, Meredith, wróci do domu o świcie, wszystko może się stać. Lecz z drugiej strony nie zostawi przecież tego człowieka na pastwę losu. Obiecała mu, że go nie opuści. Musi dotrzymać słowa.

Lekarz dyżurny po zbadaniu pacjenta orzekł wstrząśnienie mózgu. Przez prawie całą drogę do szpitala mężczyzna był nieprzytomny. Raz tylko ocknął się z omdlenia, spojrzał na Meredith, uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń.

Należało zawiadomić jego rodzinę. Wręczono jej książkę telefoniczną i posadzono przy telefonie w pełnej zgiełku dyżurce pielęgniarek. Jacobsville było siedzibą władz hrabstwa. Odnalazła wreszcie ranczo Hart. Wybrała numer i czekała dłuższą chwilę. Niebawem usłyszała niski, męski głos:

- Słucham. Ranczo Hart.

- Dzwonię w imieniu pana Leo Harta - zaczęła. Jego nazwisko odczytała z prawa jazdy, które było w portfelu; widocznie napastnikom zabrakło czasu, by go ukraść. - Jest teraz w Houston...

- Co się stało? - zapytał mężczyzna zniecierpliwionym tonem.

- Napadnięto na niego. Ma wstrząśnienie mózgu. Na razie nic więcej nie wiadomo.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Meredith Johns. Pracuję...

- Kto go znalazł?

- Ja. Wezwałam pogotowie przez jego komórkę. Prosił, bym zadzwoniła do jego brata.

Podał nazwę miejscowości.

- Jest druga w nocy! - podkreślił ze złością jej rozmówca.

- Wiem - odparła. - To wydarzyło się przed kilkunastoma minutami. Przechodziłam i zobaczyłam, że człowiek leży na chodniku. Prosił, by ktoś z rodziny...

- Mam na imię Rey, jestem jego bratem. Już tam jadę. Dzięki. - Odłożył słuchawkę, a Meredith pomyślała, że to ostatnie słowo wypowiedział takim tonem, jakby z trudem przechodziło mu ono przez gardło.

Wróciła do poczekalni. Po dziesięciu minutach poproszono ją do pokoju, w którym ofiara napadu składała zeznania.

- Jest przytomny - oświadczył lekarz dyżurny. - Chcę zadać mu parę pytań, żeby nie było żadnych wątpliwości. Udało się pani dodzwonić?

- Jego brat niedługo tu będzie.

- Świetnie. A czy pani zostanie z nim tutaj? Panuje epidemia zapalenia oskrzeli i brakuje nam pielęgniarek, a pacjent nie powinien być sam.

- Zostanę - rzekła z uśmiechem. - Ale proszę nie sądzić, że to, co mam na sobie, świadczy o tym, kim jestem.

Lekarz obrzucił spojrzeniem jej strój.

- Halloween! - rzekł, wykrzywiając usta z ironią. - Siłą by mnie na taką imprezę nie zaciągnęli!

Trzy kwadranse później coś się wydarzyło. Do gabinetu zabiegowego wpadł niczym tornado wysoki, czarnowłosy i czarnooki mężczyzna, w dżinsach, kowbojskich butach i kurtce z frędzlami narzuconej niedbale na beżową jedwabną koszulę. Do tego kapelusz z szerokim rondem, najdroższej marki, której symbolem była wpięta w szarfę szpilka w kształcie pióra. Wprost kipiał od nadmiaru nagromadzonej w nim złości.

Na widok leżącego na stole zabiegowym brata, który to tracił, to odzyskiwał przytomność, jego wściekłość sięgnęła zenitu. Przeszył Meredith, a właściwie jej strój, piorunującym spojrzeniem.

- Teraz rozumiem, dlaczego o drugiej w nocy znalazłaś się na ulicy - wychrypiął gniewnie. - Co zatem się stało? Obrabowałaś go, a potem sumienie cię ruszyło i wezwałaś pomoc?

- Co też pan... - zaczęła, wstając.

- Proszę sobie darować! - Odwrócił się i położył silną, smukłą dłoń na piersi brata. - Leo, Leo, to ja, Rey! Słyszysz mnie? - pytał pełnym z troskania tonem.

Poturbowany mężczyzna uchylił powieki, popatrzył na brata.

- Rey?

- Powiedz, jak to się stało. Leo uśmiechnął się nieznacznie.

- Szedłem pogrążony w myślach - zaczął słabym głosem - i raptem ktoś uderzył mnie w głowę. Przewróciłem się. Nic nie widziałem. - Sięgnął do kieszeni. - Cholera! Ukradli mi portfel! I moją komórkę!

Meredith chciała mu powiedzieć, że ma i portfel, i komórkę, ale nim zdołała otworzyć usta, Rey Hart spojrzał na nią groźnie i wybiegł z sali.

Tymczasem Leo znów stracił przytomność. Meredith stała obok i zastanawiała się, co robić. Nie minęło pięć minut, gdy Rey wrócił, a towarzyszył mu wysoki mężczyzna w policyjnym mundurze. Jego twarz była jej znajoma, nie potrafiła jednak skojarzyć okoliczności. Na pewno już go kiedyś widziała.

- To ona - powiedział Rey, wskazując palcem Meredith. - Podpiszę każdy papierek, gdy tylko stan zdrowia mojego brata się poprawi. Ale teraz nie chcę jej tu widzieć!

- Spokojna głowa, załatwię to - rzekł policjant. Zanim Meredith zdążyła zaprotestować, założył jej kajdanki i wypchnął z sali.

- Czy jestem aresztowana?! - wykrzyknęła oszołomiona. - Za co? Dlaczego? Ja nic złego nie zrobiłam!

- Wiem, wiem - powiedział policjant znudzonym tonem, gdy próbowała opowiedzieć mu, czego była świadkiem. - Każdy jest niewinny. Zdajesz chyba sobie sprawę, że spacerowanie po mieście w takim stroju, w dodatku po północy, nie świadczy na twoją korzyść? Co zrobiłaś z jego telefonem komórkowym i portfelem?

- Mam je w torebce.

Ściągnął torbę z jej ramienia i wypchnął z gmachu szpitala.

- Czekają cię poważne kłopoty. Obrabowałaś niewłaściwego człowieka.

- Ja go nie obrabowałam! Gdy nadeszłam, pochylali się nad nim jacyś dwaj mężczyźni! Nie widziałam ich twarzy, ale to na pewno oni go okradli!

- Nagabywanie przechodniów jest przestępstwem - oznajmił znacząco.

- Nikogo nie nagabywałam! Wracalam z imprezy Halloween, gdzie występowałam w przebraniu tancerki! - wykrzyknęła z gniewem wobec kolejnego zarzutu. Przeczytała nazwisko policjanta na identyfikatorze. - Sierżancie Sanders, musi mi pan uwierzyć!

Słowem się nie odezwał. Doprowadził ją do samochodu i wepchnął na tylne siedzenie.

- Chwileczkę! - zawołała, nim zamknął drzwi. - Niech pan zajrzy do mojego portfela! Ale to już! - rozkazała.

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, lecz zastosował się do jej woli. Po czym popatrzył na nią innym już wzrokiem.

- Pomyślałem nawet, że skądś panią znam - mruknął.

- Nie obrabowałam pana Harta - ciągnęła. - I mogę udowodnić, gdzie byłam, gdy na niego napadnięto. - Podała mu adres Jill.

Zajechali przed dom Jill. Sanders wszedł do mieszkania, porozmawiał z jego gospodynią, na pewno podpiętą i rozbawioną, i wrócił. Kazał Meredith wysiąść, zdjął jej kajdanki. Panował nocny chłód i dziewczyna drżała z zimna, ponadto źle się czuła w tym dziwnym przebraniu, mimo że policjant znał już prawdę.

- Jest mi doprawdy przykro - zaczął, patrząc w jej szare oczy. - Nie rozpoznałem pani. Wiedziałem tyle, ile powiedział mi pan Hart, a jego poniosły emocje...

Musi pani jednak przyznać, że pani wygląd...

- Zdaję sobie z tego sprawę. Pan Hart był przerażony stanem brata, nie wiedział, co się stało, a widząc mnie w tym stroju... Gdy jeszcze usłyszał od brata, że zginął mu portfel i telefon komórkowy, to już nie miał żadnych wątpliwości. Nie znał mnie przecież. Trudno go winić za to, że podejrzewał mnie o najgorsze. Gdybym wtedy nie nadeszła, ci dwaj na pewno ukradliby portfel. Uciekli i upiekło im się.

- Może mi pani wskazać miejsce, gdzie leżał pan Hart? - zapytał policjant.

- Oczywiście. Chodźmy.

Podążył za nią, omiatając światłem latarki chodnik. Wskazała mu miejsce znalezienia rannego. Pochylił się w poszukiwaniu śladów. Znalazł paperek po cukierku i niedopałek papierosa.

- Nie wie pani, czy pan Hart pali i czy lubi słodocze?

Potrząsnęła głową.

- Podał mi tylko nazwisko. Nic więcej o nim nie wiem.

- Zapytam o to jego brata. Proszę tu poczekać. Wezwę techników, niech zabiorą do analizy to, co znalazłem.

- Poczekać - zgodziła się, otulając się szalem z piór. - Wyobrażam sobie ich radość, gdy wyciągnie ich pan z łóżka, by obejrzeć niedopałek i paperek po cukierku.

- Nie ma pani pojęcia, czym się ci faceci ekscytują - rzekł chichocząc. - Tropienie przestępców to dla nich prawdziwa frajda.

- Mam nadzieję, że złapią tych dwóch typów. Ludzie nie powinni się bać wychodzić w nocy z domu, nawet w takim stroju - dodała, dotykając swej powiewnej spódniczki.

- Słusznie - przyznał i wezwał przez radiotelefon ludzi z grupy operacyjnej.

Meredith chciała już iść do domu, ale musiała jeszcze złożyć pisemne oświadczenie. Krótka to trwało, bo niewiele wiedziała.

Wręczyła kartkę policjantowi.

- Może już pan mnie zwolnić? - zapytała. - Mieszkam z ojcem, który na pewno bardzo się o mnie niepokoi. Pójdę pieszo, to tylko trzy przecznice stąd.

Zmarszczył brwi.

- Pani ojciec to Alan Johns, prawda? A może mam z panią pójść?

Była na ogół odporna na ataki irytacji ojca, umiała sobie z nim radzić. Jednakże tym razem czuła, że nie sprosta zadaniu.

- Mógłby pan? - zapytała speszona własnym lękiem.

- Oczywiście. Jedziemy.

Dom był pogrążony w ciemnościach, co sprawiło, że poczuła ulgę: nic się nie dzieje.

- W porządku - powiedziała. - Gdyby czuwał, paliłoby się światło. Dziękuję, sierzancie - dodała z uśmiechem.

- W razie czego proszę dzwonić - rzekł. - Obawiam 'się zresztą, że będziemy w kontakcie z powodu tego incydentu. Rey Hart wspomniał mi, że ich brat jest prokuratorem generalnym w naszym stanie. Nie odpuści, dopóki nie złapiemy przestępców.

- I słusznie. Ci dranie to prawdziwa plaga. Tylko czyhają, żeby kogoś obrabować.

- Przepraszam za te kajdanki - powiedział policjant i Meredith po raz pierwszy ujrzała uśmiech na jego twarzy.

- Moja wina, że paradowałam po nocy w tym przebraniu. Dostałam nauczkę. Dziękuję za podwiezienie.

Rey Hart siedział wytrwale przy łóżku brata, załatwiwszy uprzednio izolatkę, do której przewieziono Lea z gabinetu zabiegowego. Był szczerze zmartwiony - nie wiadomo, jak się to wszystko skończy.

Dostawał szału na myśl o tej dziewczynie. Ciekawe, czym go uderzyła, zastanawiał się. Nie sprawiała wrażenia silnej i była raczej niskiego wzrostu. Dziwne, że jakimś tępym narzędziem zdołała sięgnąć jego głowy. Pomyślał z niesmakiem o jej ubiorze. Parę lat temu miał romans z dziewczyną, która, jak potem się okazało, świadczyła usługi erotyczne. Zakochał się w niej i sądził, że z wzajemnością. Kiedy dowiedział się o jej zawodzie i o tym, że świadoma jego bogactwa zarzuciła na niego sieci, zraził się do kobiet. Nie ufał już żadnej. Powtarzał sobie w duchu, że gdyby znalazł mężczyznę, który umiałby piec placki, nie wpuściłby do domu żadnej niewiasty, nawet leciwej.

Przypomniał sobie ze smutkiem ich ostatni nabytek. Otóż on oraz Leo - jako ostatni kawalerowie w rodzinie - znaleźli pewną doświadczoną kucharkę, która potrafiła piec ich ulubione placki. Oczywiście wprowadziła się do nich. Zdarzyło się, że zachorowała, więc wezwali lekarza, kupili leki. Wydobrzała, oświadczyła jednak, że niestety ta praca jest dla niej

za ciężka. Nie mogli znaleźć nikogo na jej miejsce, nawet za tak atrakcyjne wynagrodzenie, jakie byli w stanie zaoferować ewentualnym kandydatkom.

Rey parokrotnie w ciągu tej nocy ucinął sobie drzemkę, przyzwyczajony do tego, że zasnąć można w każdym miejscu i w każdej pozycji. Wszak kowboje, gdy okoliczności tego wymagają, potrafią spać nawet w siodle.

Obudził się, gdy do pokoju wszedł policjant, który aresztował tamtą dziewczynę.

- Jestem już po dyżurze - powiedział sierżant - i pomyślałem sobie, że wpadnę i zdam panu relację z tego, cośmy ustalili. Mamy pewne dowody i dziś rano detektywi przesłuchają świadków. Schwytaliśmy ludzi, którzy napadli na pańskiego brata.

- Schwytaliście? - powiedział Rey. - Przecież mieliście ją już w ręku! Aresztowaliście tę kobietę!

- I zwolniliśmy - rzekł Sanders. - Miała alibi, potwierdzone. Napisała oświadczenie i odwozłem ją do domu.

Rey wstał, demonstrując swój niebywały wzrost, i zmierzył sierżanta ostrym spojrzeniem.

- Zwolniliście ją? - powtórzył lodowatym tonem. - A gdzie jest telefon komórkowy mojego brata? - zapytał po chwili namysłu.

Policjant skrzywił się.

- W jej torebce, razem z portfelem pana Harta - przyznał z pokorą. - Zupełnie o tym zapomniałem. Pójdę do niej zaraz i odbiorę te rzeczy.

- Idę z panem - rzekł Rey stanowczo. - Moim zdaniem, ona jest winna. Na pewno współdziałała z tymi bandytami. I opłaciła tego kogoś, kto dał jej alibi.

- To nie jest tego typu osoba... - zaczął sierżant.

- Ani słowa więcej - przerwał mu ostro Rey. - Idziemy.

Siedział za kierownicą wozu, obok niego policjant, już nie służbowo, po dyżurze. Jechali do Meredith, której dom znajdował się niedaleko szpitala. Był w kiepskim stanie - co wzmogło tylko podejrzliwość Reya. Wynika z tego, że jest biedna. A więc miała motyw: zdobycie pieniędzy.

Rey zapukał do drzwi. Z całych sił. Musiał trzykrotnie powtórzyć owo walenie, nim Meredith im otworzyła.

Włosy miała potargane, była blada jak ściana. Niezdarnym ruchem przyłożyła do twarzy wilgotną ściereczkę. Na ten swój halloweenowy kostium narzuciła tylko szlafrok.

- Czego znowu chcecie? - zapytała niewyraźnie, ochrypłym głosem.

Aha, piłaś! - Ton głosu Reya brzmiał ostro, nieprzyjemnie.

Meredith drgnęła, cofnęła się o krok.

Sanders domyślił się, co się tutaj działo. Z ponurą miną wszedł za Reyem do środka, potem do salonu.

- Widać z tego, że pracowita miałaś noc - ciągnął Rey patrząc na ten jej strój, który szlafrok nie w pełni zasłaniał. - Czy ci twoi frajerzy również cię biją?

Milczała, nie mogła słowa z siebie wydusić. Bolała ją twarz.

Sierżant skierował się do sypialni. Wrócił niebawem, prowadząc mężczyznę w kajdankach, który wyglądał nad podziw dostojnie, choć, rozwścieczony, miotał przekleństwami, wyzywając Meredith od prostytutek i morderczyń. Rey Hart patrzył nań, nie kryjąc zdumienia. Po chwili przeniósł wzrok na Meredith, która stała nieruchomo i tylko przy każdym kolejnym wyzwisku przyrywała odruchowo oczy, Sanders podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić po wóz policyjny.

- Proszę, niech pan nikogo nie wzywa! - błagała, przyciskając do policzka woreczek z lodem. - On dopiero co wyszedł...

- Tym razem przytrzymamy go dłużej niż trzy dni - zapewnił sierżant. - A pani niech idzie do szpitala, niech lekarz panią obejrzy. Bardzo panią poturbował? Proszę odsłonić twarz.

Rey stał w milczeniu, wyraźnie zakłopotany, i przyglądał się dziewczynie. A gdy zobaczył opuchnięty policzek i fioletowy siniec wokół oka, zaparło mu dech w piersi.

- Boże święty! - wykrzyknął po chwili. - A czymże on panią uderzył?

- Pięścią - odparł krótko policjant. - I to nie po raz pierwszy. Niech pani wreszcie zrozumie - zwrócił się do Meredith - że to już nie ten sam człowiek. Kiedy jest pijany, nie wie, co robi. Którejś nocy zabije panią, a potem zapomni o tym i wyprze się tego, co zrobił.

- Nie wniosę przeciwko niemu oskarżenia - powiedziała ponuro. - Jak bym mogła? Przecież to mój ojciec. Tylko jego mam na świecie.

Sanders spojrział na nią z malującym się na twarzy współczuciem.

- Nie musi pani. Ja załatwię tę sprawę. I proszę zadzwonić do szefa, że przez parę tygodni będzie pani nieobecna. Wpadłby w szal, gdyby w takim stanie zjawiała się pani w biurze.

- To prawda. - Łzy spływały jej po policzkach. Popatrzyła z rozpaczą na wykrzywioną złością twarz ojca. - Nie był taki przedtem, daję słowo. Był miłym, czarującym człowiekiem.

- Ale już nie jest czarujący - uciął sierżant. - Proszę się szykować do szpitala. Ja zajmę się ojcem, póki nie przyjadą...

- Nie! - jęknęła. - Niech pan nam tego oszczędzi! Tego widowiska przed sąsiadami!

- Może pani być spokojna, dopilnuję wszystkiego jak należy. I przy okazji podrzucimy panią do szpitala.

- Ja ją podrzucę - oświadczył nagle Rey. W dalszym ciągu nie ufał tej kobiecie, ale wyglądała tak żałośnie, że nie mógłby po prostu odejść. Poza tym, bez względu na motyw, jakimi się kierowała, udzieliła jednak pomocy jego bratu. Wyzionąłby ducha na tym chodniku, gdyby nie ona.

- Ale przecież... - zaczęła.

- Pod warunkiem - dodał chłodno - że się pani przebierze. Nie życzę sobie być w towarzystwie kogoś w takich łachmanach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Meredith zapadłaby się najchętniej pod ziemię. Długie blond włosy opadały jej na twarz, a szare oczy błyszczały gniewnie. Czuła się przy tym fatalnie, cała była obolała. Marzyła o łóżku, lecz nie zanosiłoby się na to, by ten uparty człowiek dał jej spokój. Zdawała sobie jednak sprawę, że może mieć uszkodzoną kość policzkową, więc lekarz by się przydał. Powie, że znowu uległa wypadkowi.

Przyjechali policjanci, więc wyszła do innego pokoju, by uniknąć widoku wynoszonego przemocą i wrzeszczącego ojca. Często się to zdarzało, dla sąsiadów nie była to żadna sensacja. Ta świadomość przygnębiła ją jeszcze bardziej.

- Idę się przebrać - powiedziała, wychodząc.

Rey rozejrzał się po salonie, który wyglądał dość nędznie. Jedyne, co cieszyło oko, to mnóstwo książek - na półkach, w pudłach, na stole, na krzesłach. Dziwne, pomyślał. Sądząc po starych, zużytych meblach, podłodze bez dywanu, nie przelewało się im. Stał tu tylko mały telewizor i równie mały radioaparat. Spojrzał na szafkę z płytami i stwierdził ze zdziwieniem, że przeważała tu muzyka klasyczna. Ciekawa rodzina. Dlaczego w tym ubogim wnętrzu jest aż tyle książek?

I gdzie jest matka dziewczyny? Czy opuściła ojca, który rozpił się z rozpaczony? Całkiem możliwe. Wiedział coś o rozbitych rodzinach, o braku matki w domu - jego matka porzuciła ich, zostawiła bez skrupułów pięciu nieletnich chłopców.

Wkrótce wróciła Meredith i gdyby nie posiniaczona twarz, chyba by jej nie poznał. Miała na sobie beżowy sweter, spódnicę i tweedowy płaszcz. Blond włosy związała w kok. Trzymała oburącz torebkę, która wyglądała na całkiem nową.

- Proszę, to jest portfel pańskiego brata i komórka - powiedziała. - Zapomniałam wręczyć je sierżantowi.

Wsunął oba przedmioty do kieszeni. Zastanawiał się, czy oddałaby je, gdyby tu nie przyszedł. W dalszym ciągu nie miał do niej zaufania.

- Chodźmy - rzekł. - Samochód stoi przed domem.

Rey otworzył przed nią drzwi luksusowego samochodu. Jego brat pełnił w tym stanie funkcję prokuratora generalnego. On sam zaś był właścicielem rancza. Meredith przypomniała sobie, jak tej nocy Leo był ubrany, i zmierzyła Reya od stóp do głów - drogi kapelusz, równie kosztowne buty, jedwabna koszula. Muszą być bogaci, pomyślała. Biorąc

pod uwagę fakt, co ona tamtej nocy miała na sobie - a właściwie, czego nie miała - nie należało się dziwić, że tak ją potraktował.

Siedziała obok niego, przykładając stale lód do bolącego i opuchniętego policzka. Bez lekarskiej diagnozy wiedziała, że uraz jest poważny.

- Parę lat temu w jakiejś bijatyce ktoś zafundował mi taki cios - odezwał się Rey z typowym dla południowców akcentem. - Bolało jak diabli. Pewno i ciebie boli.

Przełknęła ślinę poruszona tym cieniem troskliwości. Łzy zapiekły ją pod powiekami, ale przemogła się. Nie może okazać słabości.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego milczysz?

- Dziękuję, że zechciałeś mnie tu przywieźć - rzekła, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Czy zawsze wieczorami tak się ubierasz?

- Już ci wyjaśniłam. Byłam na halloweenowej imprezie. - Mówienie sprawiało jej ból.

- I to był jedyny kostium, jaki został mi z dawnych lat.

- Lubisz takie imprezy? - zapytał z ironią.

- To była pierwsza od... prawie czterech lat. Przepraszam, ale czuję ból, gdy mówię.

Popatrzył na nią z ukosa. Nie miał do niej zaufania. Dlaczego się nią zajął? Była wrażliwa, to na pewno. Ale również silna psychicznie.

Zaprowadził ją do izby przyjęć. Po załatwieniu zwykłych przy takiej okazji formalności Meredith udała się do gabinetu zabiegowego. A Rey czekał w poczekalni obok jakiegoś wrzeszczącego szkraba i faceta kaszłającego mu w ucho. Nie miał dotąd styczności z chorobami ani z chorymi. Co innego wypadki, które na ranczu często się zdarzają. Ale szpitali nie cierpiał.

Po półgodzinie Meredith wróciła - z grobową miną i receptą w ręku.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Rey.

- Dał mi coś... na uśmierzenie bólu.

- Jak ja oberwałem, to kazali mi iść do chirurga plastycznego.

Milczała.

- Miałem złamaną kość policzkową i lekarze w szpitalu nie mogli nic na to poradzić.

- Nie pójdę do żadnego... cholernego chirurga! Zmarszczył brwi.

- Możesz mieć twarz zniekształconą.

- I co z tego - mruknęła. - Nie zależy mi na atrakcyjnym wyglądzie.

Wprawdzie nie jest piękna, myślał Rey, ale rysy ma regularne, prosty nos. I ładne usta, wypukłe. No i te fascynujące szare oczy!

- Możesz mnie podrzucić do apteki?

- Oczywiście.

Czekał, aż Meredith wykupi lekarstwa, po czym zawiózł ją do domu.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, to będę w szpitalu, u Lea - powiedział, lecz widać było, że z trudem przeszło mu to przez gardło.

- Nie zajdzie taka potrzeba. Dziękuję - rzekła sucho Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jego twarzy.

- Jesteś do mnie podobna - powiedział. - Dumna jak paw.

- Nieważne. Naprawdę martwię się... o twego brata. Sądysz, że dojdzie do siebie? - zapytała.

Skinął głową.

- Potrzymają go tam dwa lub trzy dni. Może będzie chciał ci podziękować.

- Nie musi. Każdym bym się zajęła w takiej sytuacji.

Rey westchnął. Nieprędko znikną z jej twarzy te okropne siniaki, pomyślał. Nie wiedzieć czemu, czuł się winny. Nabrał powietrza w płuca.

- Przepraszam, że kazałem cię aresztować - rzekł po chwili.

- Drogo cię to chyba kosztowało.

- Nie rozumiem...

- Nie przywykłeś do przeproszania, prawda? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie ma sprawy - rzekła. - Jakoś to przeżyłam.

Rey, który przecież długie lata obywał się bez towarzystwa, poczuł się nagle samotny. Nie lubił tego uczucia, więc szybko włączył silnik i ruszył w stronę szpitala.

Leo już tego samego popołudnia poczuł się dobrze. Rey podniósł mu zagłówek i patrzył, jak brat z apetytem pałaszuje obiad.

- Zjadłbym jeszcze tylko parę placków.

- Ja też - rzekł Rey z tęsknym westchnieniem. - Może będą mieli placki w którejś tutejszej restauracji. Widziałem, że w jednej serwują śniadania.

- Nie wiesz czasem - zaczął Leo - co to za dziewczyna przywiozła mnie tutaj?

- Pamiętasz ją? - Rey był szczerze zdziwiony.

- Wyglądała jak anioł - mówił Leo z zadumą. - Blondynka, duże oczy, i taka serdeczna. Usiadła przy mnie na chodniku i cały czas trzymała mnie za rękę, aż do przyjazdu karetki.

- Przecież byłeś nieprzytomny.

- Niezupełnie. Powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Pamiętam jej głos. - Uśmiechnął się. - Ma na imię Meredith.

Rey omal nie podskoczył na krześle. Jego brat obcym kobietom nie poświęcał na ogół uwagi.

- Tak, Meredith Johns - potwierdził.

- Czy to mężatka? - zapytał Leo.

Ta jego dociekliwość wyraźnie zirytowała Reya, tym bardziej że brat wcale nie zmierzał do końca tej rozmowy.

- Nie wiesz - pytał - jak można by się z nią skontaktować? Chciałbym wyrazić jej swoją wdzięczność, bo przecież uratowała mi życie.

Rey wstał i podszedł do okna, chcąc w ten sposób zyskać na czasie.

- Ona mieszka niedaleko miejsca, gdzie ci bandyci napadli na ciebie - odparł po chwili, ponieważ nie potrafił kłamać.

- Gdzie pracuje?

- Nie wiem - odparł Rey. Czul się niezręcznie, bo wciąż miał w uszach wyzwiska jej ojca. Wprawdzie powiedziała mu, że przebrała się w ten strój, bo szła na imprezę halloweenową, a nawet uzyskała alibi od gospodyni przyjęcia, lecz Rey wciąż żywił wobec niej podejrzenia. A jeśli zmyśliła tę historię? Jeśli w gruncie rzeczy trudniła się prostytutką? Wolałby uchronić swego brata przed tego rodzaju kobietami. I nagle stanęła mu przed oczami posiniaczona twarz tej dziewczyny i zrobiło mu się przykro.

- Zapytam którąś z pielęgniarek - rzekł Leo.

- Nie musisz - oświadczył jego brat. - Jeśli sobie tego życzysz, jutro rano przywiozę ją tutaj.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo wczoraj wieczorem ojciec zbił ją za to, że wróciła późno do domu - oznajmił Rey zniecierpliwionym tonem. - Przed przyjściem tutaj zawiozłem ją na pogotowie.

- Ojciec ją pobił? A ty potem odwiozłeś ją z powrotem do domu?

- Jego już tam nie było. Policjanci zabrali go do więzienia - odparł ze zmarszczonym czołem. - Miała liczne obrażenia. Przez parę tygodni nie będzie mogła pracować. - Wzruszył ramionami. - Biorąc pod uwagę warunki, w jakich żyją, nie będzie jej łatwo związać koniec z końcem. Ojciec raczej nie pracuje i na niej spoczywa cały ciężar utrzymania domu. - O swoich podejrzeniach co do rodzaju jej zarobkowania dyskretnie milczał.

Leo wsparł się o poduszki. Wzrok miał ponury, na twarzy malował się smutek. Głowę mu częściowo ogolono, tam gdzie zakładano szwy, więc wyglądał dość dziwnie. Całe szczęście, że nie doszło do urazu mózgu, pomyślał Rey, i oczy rozbłysły mu gniewem.

- Dziś wieczór zadzwonię do Simona - powiedział. - Nie wątpię, że tutejsza policja zrobi wszystko, by złapać tych bandytów, ale telefon od prokuratora doda im na pewno zapału.

- Znowu chcesz użyć swoich metod - rzekł Leo z nutą dezaprobaty.

- W słusznej sprawie.

- Masz mój portfel i komórkę?

- Tak, oddała mi.

- Meredith nie ma nic wspólnego z tym napadem. Pamiętaj, że jutro rano obiecałeś przywieźć ją tutaj.

No proszę, „Meredith”. Rey wolałby, żeby nie doszło do tego spotkania, sam jednak był autorem tego pomysłu i teraz nie miał wyjścia. Gdyby zaczął wysuwać jakieś zastrzeżenia, zabrzmiałoby to dość podejrzanie. Leo zawsze zresztą stawiał na swoim.

- Pamiętam - odrzekł.

- Dzięki, chłopie - powiedział Leo z uśmiechem.

- Nie ma to jak rodzina.

- Następnym razem nie myśl o paszach, tylko o własnym bezpieczeństwie - rzekł Rey, przysuwając krzesło do łóżka brata. - A, nawiasem mówiąc, jaki rodzaj paszy zaleca Stowarzyszenie Hodowców Bydła?

Rey zatrzymał się w hotelu w pobliżu szpitala. Szybko więc weźmie kąpiel i położy się spać. Gdyby coś się stało, recepcjonista powiadomi go telefonicznie.

Przedtem jednak zadzwonił do Simona.

- Napad na Lea?! - wykrzyknął brat. - I nie powiadomiłeś mnie od razu? - Mówił tonem ostrym, strofującym, jak do smarkacza, choć Rey skończył już trzydzieści lat. Simon był najstarszy spośród pięciu braci i cechowały go najbardziej dyktatorskie zapędy.

- Nie miałem głowy, by kogokolwiek powiadamiać - odparł Rey. - A poza tym... doszedł jeszcze pewien problem, z którym musiałem się uporać.

- Macie już podejrzanego? - zapytał spokojniejszym już tonem.

- Nie. Myślałem, że mamy, ale okazało się to pomyłką. - Rey wolał nie wdawać się w szczegóły. - Napastników było dwóch i do tej pory są na wolności. To istny cud, że go nie zabili. Spłoszono ich, zanim zdążyli coś ukraść. Mógłbyś zadzwonić do tutejszego szeryfa. Dać mu do zrozumienia, że zależy ci na wykryciu sprawcy.

- Sugerujesz, żebym użył swoich wpływów w sprawie osobistej?

- Tak. Czemu nie? To przecież, na litość boską, nasz brat! Jeśli taki silny mężczyzna jak Leo stał się ich ofiarą w samym środku miasta, to inni, słabsi od niego, tym bardziej są narażeni na niebezpieczeństwo. Kiepsko to świadczy o organach ścigania.

- Co prawda, to prawda - zgodził się Simon. - Jutro rano pogadam, z kim trzeba. Potem pojedę do Jacobsville po Caga i Corrigan i wszyscy zajmimy się naszym bratem.

Rey zachichotał. Po raz pierwszy od tego wydarzenia coś go rozśmieszyło. Braterskie sprzysiężenia. Musiał jednak przyznać, że sytuacja była wyjątkowa. Leo mógł zginąć. Sprawcy winni być schwytani.

- Na pewno ich zastaniesz - rzekł Rey. - Nie zadzwoniłem do nich, bo oprowadzali po mieście japońskiego biznesmena.

- Ciekawe, jak im poszło. Japończycy są bardzo uczuleni na importowaną wołowinę. Mamy duże szanse, bo karmimy bydło paszą organiczną.

- Oczywiście. A ty nie przejmuj się Leo. Czuje się całkiem dobrze. W przeciwnym razie tkwiłbym przy jego łóżku. Ucałuj ode mnie Tirę i chłopców - dodał Rey na zakończenie.

- Nie omieszkam. Zatem do jutra.

Po tej rozmowie Rey rozmyślał o rodzinie. Rudowłosa Tira, żona Simona, była wspaniałą i piękną kobietą; chłopcy odziedziczyli urodę po obojgu rodzicach, ale czarne włosy i oczy mieli po Simonie. Corrigan i Dorie doczekali się syna i córki. Cag i Tess chlubil się synem i często ostatnio przebąkiwali, jak by to było dobrze, gdyby przyszła na świat córka. Rey i Leo byli tylko wujkami i nie zamierzali zmieniać stanu cywilnego.

Gdyby nie te ulubione placki, pomyślał smętnie Rey. Codzienne ich zamawianie w lokalnej kawiarni byłoby imprezą dość kłopotliwą, więc trzeba będzie w końcu jakoś załatwić tę sprawę.

Potem powędrował myślami do poturbowanego brata i momentalnie stanęła mu przed oczami posiniaczona twarz Meredith. Jutro będzie musiał spełnić prośbę Lea i przywieźć ją do szpitala. Nie cieszyła go ta perspektywa. A dlaczego? Sam chciałby wiedzieć.

Nazajutrz po śniadaniu pojechał do Meredith. Zapukał i parę minut upłynęło, więc przez chwilę łudził się nadzieją, że odejdzie z kwitkiem.

Stało się jednak inaczej: otworzyła drzwi, poprosiła, by wszedł, choć wyglądała jak po bijatyce w barze. Lewe oko tak miała zapuchnięte, że wcale nie było go widać.

- Leo prosił mnie, żebym przywiózł cię do szpitala - powiedział, zauważając mimochodem, że czubek jej głowy sięgał mu zaledwie do ramienia. Stwierdził też, że mimo

szpecących ją siniaków cerę mała naprawdę piękną. I ładne usta. Sam był zdumiony własną reakcją.

- Chciałby ci podziękować. Pamięta, że jechałaś z nim karetką. Nie wspomniałaś mi o tym - dodał z lekkim wyrzutem.

- Myśli miałam zajęte czym innym - rzekła. - Martwiłam się, co ojciec mi zrobi, gdy wrócę tak późno do domu.

- A masz jakieś wieści o nim? - zapytał.

- Chcą go oskarżyć o pobicie - powiedziała ze smutkiem. - A mnie nie stać na adwokata. Dadzą mu obrońcę z urzędu i posiedzi parę tygodni za kratkami.

- Uniosła wzrok. - Przynajmniej przez ten czas nie będzie się upijał.

Ogarnęło go współczucie dla tej dziewczyny i miał to sobie za złe.

- Czy twoja matka opuściła go? - zapytał. Odwróciła się. Nie mogła o tym mówić.

- W pewnym sensie - rzekła. - Zawieziesz mnie do szpitala? Bo autobus przyjedzie dopiero za pół godziny.

- Oczywiście - odparł.

- Wezmę żakiet i torbę - powiedziała, wychodząc z pokoju. Gdy wróciła po chwili, zapytała: - Czy on jest przytomny?

- Jak najbardziej - odparł. - Gdy wychodziłem od niego, powiedział właśnie siostrze, by wynosiła się z tą miską.

Meredith roześmiała się.

- Wyglądał na dżentelmena, a nie na takiego...

- Wszyscy jesteśmy tacy - przerwał jej.

- To znaczy?

Otworzył drzwi samochodu. Wsiadła.

- Jest nas pięciu. Trzej przyjadą tu niebawem, by pogadać z policją.

- Prawda, mówiłeś, że jeden z braci jest prokuratorem generalnym.

- Tak, i będziemy działać wspólnie.

Spojrzała na jego dłonie spoczywające na kierownicy. Miał ładne ręce, wąskie i silne, z dobrze utrzymanymi paznokciami. Wyglądał na silnego mężczyznę, prawdziwego kowboja.

- Jak twoja twarz? - zapytał nagle. Wzruszyła ramionami.

- Jeszcze boli, ale wszystko będzie dobrze.

- Powinnaś się zgłosić do chirurga plastycznego.

- Po co? Ubezpieczalnia nie pokryje kosztów operacji kosmetycznej, a ponadto kości policzkowe mam chyba uszkodzone i żaden chirurg plastyczny nic tu nie pomoże.

- Nie jesteś lekarzem i nie stawiaj diagnozy. Upłynęła dłuższa chwila, zanim Meredith zdecydowała się coś powiedzieć, ale zajechali właśnie na szpitalny parking.

Weszli na piętro, gdzie leżał brat Reya.

Leo nie był sam. Przy jego łóżku siedzieli trzej mężczyźni, jeden wysoki brunet bez ręki, drugi szczupły, o jasnych oczach i ładnej twarzy, trzeci, też wysoki, o czarnych oczach i groźnym spojrzeniu.

- To Cag. - Rey wskazał czarnookiego mężczyznę.

- A ten Corrigan. - Skinął głową w stronę tego o jasnych oczach. - A to Simon. - Uśmiechnął się do tego bez ręki. - Pani Meredith Johns - zakończył prezentację, - Ta, który uratowała Lea.

- Cieszę się, że panią widzę - powiedział Leo, który, gdy tylko weszła, nie odrywał od niej wzroku.

Simon, widząc jej siniaki, zapytał przerażony:

- Co się pani stało, na litość boską?

- Ojciec ją pobił - odpowiedział za nią Rey. - Bo wróciła późno do domu.

Leo był równie przerażony jak jego trzech bracia.

- A gdzie on teraz jest? - zapytał.

- W więzieniu - odparła Meredith z westchnieniem.

- Przez te parę tygodni nie będzie przynajmniej pił.

- Może udałoby ci się - zaczął Leo, zwracając się do Simona - załatwić mu miejsce w klinice odwykowej, zanim wypuszczą go na wolność?

- Zajmę się tym - obiecał Simon. - Rad jestem z poznania pani. Jesteśmy wdzięczni za to, co uczyniła pani dla Lea.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała, speszona nieco reakcją braci.

- Proszę się nie lękać - rzekł Leo, jakby odgadując jej myśli. - Oni tylko tak groźnie wyglądają, a w gruncie rzeczy mają serca jak z wosku. Zresztą w razie czego obronię panią.

- Ona nie potrzebuje twojej obrony - warknął Rey.

Pozostali bracia spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Rey chrząknął. Nie chciał być przedmiotem ich dociekliwości. Wsunął ręce do kieszeni i rzekł:

- Przepraszam, jestem niewyspany.

Meredith podeszła do Lea, który ujął jej małą zimną dłoń i przyglądał się z uwagą twarzy dziewczyny.

- Byłaś u lekarza? - zapytał.

- Pański brat zawiózł mnie wczoraj na pogotowie.

- Mam na imię Leo, a on Reymond, ale mówimy do niego Rey - poinformował ją.

Meredith uśmiechnęła się.

- Dziś wyglądasz już znacznie lepiej - powiedziała. - A jak głowa?

- Trochę jeszcze boli, lecz mam jasność widzenia i kontaktuję - rzekł, cytując lekarza.

- Prognozy są dobre.

- Cieszę się. Byłeś w kiepskim stanie.

- Gdyby nie ty, byłbym w jeszcze bardziej kiepskim. Podobno, póki twarz ci się nie zagoi, nie będziesz mogła pójść do pracy? - zapytał. - Umiesz gotować?

- Naturalnie - odparła zaskoczona.

- Umiesz piec chleb?

- Chleb? - Zmarszczyła brwi.

- A placki? - Jego twarz przybrała bardzo dziwny wyraz.

- Dlaczego miałabym nie umieć? - odparła, jakby to było całkiem oczywiste.

Leo spojrział na Reya, który w milczeniu przyglądał się bratu. Wiedział, co się święci, i wołał o tym nie myśleć.

- Co byś powiedziała na krótki pobyt w Jacobsville, na bogatym ranczu, gdzie jedynym twoim zajęciem byłoby pieczenie placków co rano? - zapytał Leo z szerokim uśmiechem.

Pozostali bracia wpatrywali się w nią wyczekująco. A Rey zmarszczył brwi, jakby ten pomysł nie przypadł mu do gustu.

Meredith zastanawiała się nad propozycją i po chwili doszła do wniosku, że przyjmie tę pracę. Przy okazji udowodni Reyowi, że nie wolno osądzać ludzi po pozorach. Ten kowboj musi dostać nauczkę. Już ona się o to postara.

Uśmiechnęła się, choć sprawiło jej to ból. Spojrzała na Lea i rzekła:

- Przyjmuję twoją ofertę.

- Świetnie! - wykrzyknął z ożywieniem. - Nie będziesz żałować! Słowo!

Uśmiechnęła się do niego. Był miły, sympatyczny. Szczerze go polubiła.

- Mogę również prowadzić dom - powiedziała. - Chcę zarobić na swoje utrzymanie.

- Otrzymasz wynagrodzenie, to jasne - uzupełnił. - To nie będzie żaden urlop.

- Ładny mi urlop z takimi dwoma drabami - mruknął pod nosem Simon. - A z tymi plackami to nie są żarty. Dadzą ci wycisk, oj, dadzą.

Rey i Leo obrzucili brata niechętnym spojrzeniem. - - Lubię pitrasić - rzekła Meredith z uśmiechem.

- Nie bierz sobie do serca jego słów. - Leo spojrział wymownie na Simona. - My po prostu przepadamy za plackami. Dostaniesz, co tylko sobie zażyczysz, na przykład: nowy piekarnik - dodał z figlarnym błyskiem w oku.

Meredith pomyślała o ojcu, swojej pracy i uśmiech znikł z jej ust.

- Muszę najpierw pozałatwiać różne sprawy - rzekła.

- Nie ma problemu. Lekarz jeszcze mnie tu przytrzyma dzień lub dwa.

- Musisz go słuchać - oznajmił Rey ostrym tonem. - Wstrząśnienie mózgu to nie żarty.

Leo skrzywił się.

- Mówi się: trudno. Ale nienawidzę szpitali.

- Też za nimi nie przepadam - zgodził się Rey.

- Bez nich trudno by się było obejść - stwierdziła Meredith.

Rey odniósł wrażenie, że jest zdenerwowana, i zastanawiał się, z jakiego powodu.

- W każdej chwili mogę cię odwiedzić do domu - rzekł. - A jak wypiszą Lea, skontaktujemy się z tobą.

- Na mnie pora. - Uścisnęła dłoń Lea. - Cieszę się, że czujesz się już lepiej. Do zobaczenia.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję - powiedział Leo na pożegnanie.

- Drobiazg. - Skinęła głową pozostałym braciom i wyszli z Reyem z sali.

- Wszyscy jesteście tacy wielcy - rzekła już na parkingu i spojrzała na Reya badawczo.

- A przy tym ani grama tłuszczu - dodała.

- Bo nie siedzimy z założonymi rękami. Jesteśmy, z wyjątkiem Simona, farmerami i nie tkwimy za biurkiem. Ciężka fizyczna praca. - Spojrział na nią z ukosa.

- Spodobałaś się memu bratu.

- Cieszę się - odparła - bo Leo też mi się spodobał. Rey nie okazał po sobie, jak poczuł się dotknięty jej słowami. Sam nie wiedział, dlaczego. Popatrzył na nią, gdy jechali w stronę jej domu.

- Czy oprócz ojca masz jakąś rodzinę? - zapytał.

- Kuzynów mieszkających w pobliżu Fort Worth. Jakie jest to Jacobsville? - zapytała, zmieniając temat.

- To małe miasteczko otoczone farmami. Mamy dobrą glebę, doskonałe pastwiska i nie narzekamy na brak deszczu, dzięki czemu zbiory są dobre. - Uśmiechnął się.

- Wielu spośród nas prowadzi ekologiczną hodowlę bydła. A to się teraz liczy. Dzięki temu wychodzimy na swoje.

- Lubię ekologiczną żywność - rzekła. - Zawiera wprawdzie więcej bakterii, ale mnie to nie przeszkadza.

Roześmiał się.

- Lubisz zwierzęta? - zapytał.

- Bardzo. - Westchnęła i oparła głowę na zagłówek. Twarz ją wciąż bolała. Dotknęła dłonią policzka i skrzywiła się.

- Musisz pójść do chirurga plastycznego - przypomniał jej.

- Nie stać mnie na to. A nawet gdyby - dodała - to nie zamierzam poddawać się tym długotrwałym zabiegom.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł z tą pracą u was. Wasi sąsiedzi pomyślą, że to wy mnie bijecie - rzekła żartobliwie.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nikomu, kto nas zna, nie przysłoby to nawet do głowy. Tym bardziej - dodał - kiedy dowiedzą się, że umiesz piec placki. Simon miał rację. Znani jesteśmy w okolicy ze słabostki do nich.

- W ogóle lubię gotować - rzekła.

Znowu na nią zerknął i stwierdził, że jest ubrana bardzo tradycyjnie.

- Jesteś zupełnie inna niż ta, którą poznałem - rzekł.

- Bo wtedy naprawdę byłam przebrana - oświadczyła. - I nie jestem żadną ulicznicą.

- Ile masz lat?

- Wystarczająco dużo.

- Więcej niż dwadzieścia jeden?

- Mam prawie dwadzieścia cztery.

- I do tej pory nie wyszłaś za mąż?

- W ostatnich latach nie miałam czasu myśleć o małżeństwie - rzekła powściągliwie. - A przede wszystkim nie mogłabym zostawić ojca na łasce losu.

- Kiedy wypije, staje się niebezpieczny - stwierdził. Zmieszana, obracała w dłoniach torebkę.

- Tamtej nocy zupełnie stracił nad sobą kontrolę. A już myślałam, że potrafię nad nim zapanować. Nie mogę mu pomóc. Przede wszystkim dlatego, że on sam nie uważa się za alkoholika. Jeśli twój brat dotrzyma słowa, będę mu bardzo wdzięczna. Dawno nie widziałam ojca w takim stanie, nie jest to więc przypadek beznadziejny. Lecz ja sama nic tu nie poradzę.

- Będziesz pracować u nas, to po pierwsze. A jeśli chodzi o ojca, to Simon załatwi mu pobyt w klinice odwykowej. Możesz być spokojna.

- Czy to duże ranczo? - zapytała.

- Ogromne. Jedno z pięciu należących do naszej rodziny. W czasie spędu robota tam wre, o czym na wiosnę będziesz, mogła się przekonać.

- Wiosną już mnie tam nie będzie - rzekła głosem dość niepewnym. - Jak twarz mi się zagoi, wrócę do swojej pracy.

- Jakiej? Zajmujesz się sprzątaniami, czy może jesteś kucharką w restauracji?

Ugryzła się w język, by zbyt ostro mu nie odpowiedzieć.

- Tak nisko oceniasz moje kwalifikacje? - zapytała.

- Nie znam cię przecież - odrzekł. - Ale wyglądasz mi na gospodynię.

Nie miała siły na złośliwą ripostę. Obiecała sobie jednak, że któregoś dnia on pożałuje tych słów.

- Ściele łóżka, myję okna - powiedziała jakby sobie na złość.

- Nie masz żadnych ambicji? - Nie ustawał w swej dociekliwości. - Teraz dziewczyny chcą na ogół coś osiągnąć.

- Twoje słowa tchną goryczą - stwierdziła. - Czyżby jakaś ambitna dziewczyna cię rzuciła?

- Coś w tym rodzaju - odparł z ponurą miną.

Popatrzyła na niego. Był wysoki, miał dobrą sylwetkę, wyrazistą twarz. Ładne ręce o długich palcach. Podobały jej się jego czarne bujne włosy, rysy twarzy, kształtne usta. Tacy mężczyźni podobają się kobietom, pomyślała. O ile zdołała się zorientować, Hartowie nie zaliczali się do osób towarzyskich, łatwo nawiązujących kontakt. Leo wydał jej się najbardziej sympatyczny. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. A mężczyzna siedzący obok niej sprawiał, że traciła pewność siebie, denerwowała się. Bliskość mężczyzn nie wywoływała w niej nigdy takiego fermentu. Co nie znaczy, że ostatnimi czasy często z nimi obcowała. A powodem takiego stanu rzeczy był zaborczy, nadopiekuńczy ojciec. Bał się, że Meredith pójdzie w ślady matki.

Zamknęła oczy, odsuwając od siebie wspomnienia.

- Gdybyś chciała przed wyjazdem do Jacobsville zobaczyć się z ojcem, to Simon ci to załatwi.

- Na razie nie chcę go widzieć - odparła ostrym tonem. - Po tym, co się wydarzyło, oboje musimy dojść do siebie.

- Czy bił cię nie tylko w twarz?

- Nie tylko. Na całym ciele mam siniaki. Lekarz zbadał mnie solidnie. - Westchnęła. - Jestem już taka tym zmęczona... - szepnęła.

- Wcale ci się nie dziwię. Potrzebujesz odpoczynku. Zadzwoń do ciebie jutro, jak tylko się dowiem, kiedy wypiszą Lea ze szpitala.

Zaparkował przed domem Meredith i Rey odprowadził ją do drzwi.

- Ojciec nie po raz pierwszy podniósł na ciebie rękę, prawda? - zapytał nagle.

Spojrzała, na niego ze zdziwieniem.

- Tak. Ale do tej pory cierpiała bardziej moja godność niż ciało. Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Paru moich szkolnych kolegów ojcowie bili po pijanemu. Jest coś specyficznego w ludziach, którzy są bici. Trudno mi to wyjaśnić, ale ja ich rozpoznaję.

- Chcesz wiedzieć, na czym polega ta specyfika? - zapytała ze słabym uśmiechem. - Jest to poczucie bezradności, świadomość, że wobec takiego rozwścieczonego człowieka jesteś zupełnie bezsilny. Bo jeśli podejmiesz jakieś działanie, obróci się to zawsze przeciwko tobie, a skutki mogą być tragiczne. To jest mój ojciec. Kocham go i wstyd mi za niego. Ale przy tym wszystkim ja nie czuję się jego ofiarą.

Stał z rękami w kieszeniach i patrzył w jej błyszczące oczy. Pomyślał o jej długich blond włosach opadających na ramiona i zastanowił się, jak by wyglądała w różowej jedwabnej sukni. Skarcił się w duchu za te swoje myśli.

- Czy powiedziałam coś nie tak? Roześmiał się.

- Nie. Tylko głupie myśli chodzą mi po głowie. Czy dać ci zaliczkę? Może chciałabyś coś kupić przed podróżą?

- Nie mam samochodu - powiedziała żartobliwie.

- Trudno, pojedziesz naszym.

- Czuję, że będę miała wspaniałego szefa.

- Może okazać się groźny, gdy placki ci się nie udadzą.

- Twój brat obroni mnie przed tobą.

- Leo ma trudny charakter i nie wiąż z nim żadnych nadziei. Poza tym tak jak ja nie zamierza się żenić.

- Masz ci los! Co za zawód mnie spotkał! A ja liczyłam, że przy okazji złapię męża!

- Daruj sobie ten sarkazm. Nie ze mną te numery. Ja tylko jasno stawiam sprawę. Potrzebujemy kucharki, nie kandydatki na żonę.

- Mów w swoim imieniu - rzekła, odwracając się ku drzwiom. - Bo moim zdaniem spodobałam się twojemu bratu.

- Powiedziałem ci...

Otworzyła drzwi i spojrzała na niego drwiąco.

- Leo nie potrzebuje adwokata. Nie zarządzasz nim ani mną. A ja zawsze robię to, na co mam ochotę.

- Niech to szlag...

- Doprawdy jesteś czarujący. Nic dziwnego, że do tej pory żadna cię nie chciała - powiedziała, przekraczając próg.

- Kiedy trzeba, jestem czarujący - oznajmił lodowatym tonem. - Ale wobec ciebie nie zamierzam...

- Na moje szczęście!

Chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował i poszedł w stronę swego auta, a Meredith, zamknąwszy drzwi, oparła się o nie plecami. Cała się trzęsła ze złości. Nie spotkała jeszcze w życiu tak bezczelnego i zarozumiałego typu!

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz rano Rey zadzwonił do Meredith i powiedział, że obaj z bratem wstąpią po nią i razem pojedą do Jacobsville.

Wielki luksusowy samochód, najnowszej serii tej marki, zajechał na podjazd i aż śmiesznie wyglądał na tle niewielkiego, obskurnego domu Meredith.

Gdy z walizką w rękę podchodziła do wozu, dostrzegła za uchylonymi firankami twarze ciekawskich sąsiadów.

- Nie zamierzamy zatrudniać cię przy spędzie bydła - powiedział Rey, patrząc na jej dżinsy, koszulę kowbojską i buty.

- Wcale bym się na to nie zgodziła - rzekła i spojrzała nań ironicznie. - Nie czyści się dywanów na wysokich obcasach i w perłach na szyi.

- Możesz ubierać się, w co chcesz, bylebyś co rano piekła nam placki - oświadczył, umieszczając w bagażniku jej walizkę.

- Dzień dobry! - zawołał Leo z przedniego siedzenia.

Rey otworzył tymczasem tylne drzwi i pomógł Meredith przy wsiadaniu.

- Dzień dobry - odpowiedziała radosnym głosem.

- Wyglądasz już dużo lepiej.

- Boli mnie jeszcze głowa. - Przesłał jej długie, wymowne spojrzenie. - Ale ty chyba jesteś w kiepskiej formie.

- Tak, oboje nieźle oberwaliśmy - rzekła, opierając się wygodnie na skórzanym siedzeniu.

- Przydałaby się wam pielęgniarka - mruknął Rey i włączył silnik.

- Mnie nie jest potrzebna - stwierdził Leo.

- Ani mnie - dodała Meredith.

- Oboje wyglądacie jak ofiary wypadku - powiedział Rey.

- Nie pozwól się obrażać, dziewczyno - rzekł Leo.

- Opowiem ci o jego licznych słabostkach, żebyś mogła go zagiąć, gdy zajdzie taka potrzeba.

Meredith nie posądzała Reya o jakiegokolwiek słabostki. Milczała. Jej nowy szef miał groźną minę, czym nawet jego brat był najwyraźniej zdziwiony.

- Czy wasza rodzina wywodzi się z Jacobsville? - zapytała, zmieniając temat.

- Nie, z San Antonio - odparł Leo. - Nabyliśmy tę posiadłość w bardzo złym stanie i dlatego w Jacobsville urządziliśmy naszą kwaterę główną. Mamy stamtąd dobry dojazd i do Houston, i do San Antonio. Ponadto dobrze się czujemy na tym odludziu. Nie lubimy miasta.

- Ja też nie lubię - oświadczyła Meredith, i przypomniał jej się piękny ogród babci w starym majątku niedaleko Fort North. Uśmiechnęła się. - Szkoda, że swego czasu ojciec przyjął tę pracę w Houston.

- A czym się twój ojciec zajmuje? - zapytał Leo.

- Jest na emeryturze - powiedziała, nie wdając się w szczegóły. Nie lubiła mówić o rodzinie, szczególnie o ojcu.

- Simon rozmawiał, z kim trzeba - pospieszył Rey z informacją. - Zapewnią mu opiekę lekarską i nie wypuszczą go, póki nie zerwie z nałogiem. - Obejrzał się na nią. - Twierdzą, że lepiej przez parę tygodni nie kontaktować się z nim, należy przeczekać najgorsze, tak zwany zespół abstynencji, czyli nawroty choroby.

- Wiem coś o tym - powiedziała, gładząc machinalnie materiał dzinsów. - Złe nawyki trudno wyplenić.

- Ty i ojciec strasznie dużo czytacie - zauważył Rey. - Nigdy nie widziałem tylu książek w domu. Nawet nasza biblioteka nie jest tak bogata.

- Kocham książki - odrzekła. - A na telewizję brakowało nam zawsze czasu. Dopiero ostatnio... - I tu nawiązała do wypadku: - Mam nadzieję, że schwytają niebawem tych bandytów, co cię obrabowali.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Dużo zatrudniacie ludzi na waszej farmie? - zapytała po chwili milczenia.

- Sporo. Choć nie na pełnym etacie. Mamy paru księgowych, menadżerów od żywego inwentarza, programistów komputerowych, sprzedawców... Hodowla bydła to wielki biznes. Zatrudniamy również specjalistę od spraw podatkowych.

- A macie psy i koty?

- Oczywiście - wtrącił Rey. - Owczarki szkockie pilnujące stada oraz koty w stodole, które chronią nas przed szczurami.

- Mieliśmy też kota w domu - dodał Leo - ale Cag i Tess, wyprowadzając się na swoje, zabrali go. Dzięki temu Herman ma teraz spokój.

Rey roześmiał się.

- Może z powodu Hermana nie zechcesz u nas pracować - rzekł.

- Kto to jest Herman? - zapytała.

- Pyton albinos, który należał do Caga. Olbrzym. Mieszkał w klatce w sypialni Caga. Cag bał się, że taki wielki gad może być groźny dla jego syna. Oboje mają bzika na punkcie swego dziecka.

- To całkiem zrozumiałe - powiedziała Meredith. - Znałam dziewczynkę, która musiała się poddać operacji plastycznej, bo wąż boa, ulubieniec jej ojca, ukąsił ją w twarz.

- Herman był niegroźny, ale Tess dostała niemal ataku serca, kiedy po raz pierwszy przysłała do nas do pracy: otworzyła pralkę, a on siedział w środku.

- Rozumiem ją. Nie miałam do czynienia z węzami i wołałabym nie mieć.

- W okolicy jest ich sporo - oznajmił Rey. - Musisz uważać. Ale w ostatnich latach ukąsiły tylko jedną osobę. Na otwartej przestrzeni mogą być niebezpieczne. Miej to na uwadze.

- Będę o tym pamiętać.

- Nad garażami - ciągnął - jest duży pokój z oknem panoramicznym, obok łazienka z wanną jacuzzi. Przed ślubem z Cagiem mieszkała tam Tess. Chwaliła sobie. Na pewno i ty będziesz zadowolona.

- Nieważne, gdzie będę mieszkać. Wdzięczna wam jestem za tę pracę. Bo z taką twarzą nie mogłabym się nigdzie pokazać. Postawiłabym swego szefa w głupiej sytuacji.

- Na ranchu nie musisz się stykać z ludźmi - zapewnił ją Leo. - A po twoich siniakach śladu wkrótce nie będzie.

- Tak też sędzę. Ale ty musisz przez jakiś czas uważać na siebie. Żadnego wysiłku. Wstrząśnienie mózgu potrafi spletać figla.

- Wiem. Mieliśmy pracownika, którego koń kopnął w głowę. Umarł po trzech dniach, gdy wchodził do zagrody. Tak, z urazem czaszki nie ma żartów.

Meredith spojrzała przez okno. Nie chciało jej się myśleć o żadnych urazach.

- Muszę zatankować paliwo - powiedział Rey, gdy wyjechali już poza miasto. - Chcecie czegoś się napić?

- Chętnie, małą kawę - rzekła Meredith.

- Tylko napełnię bak - obiecał Rey.

Leo odwrócił się i spojrzał na Meredith; w jego czarnych oczach dostrzegła błysk czegoś, co można by nazwać czułością.

- Wciąż macie ze sobą na pieńku? - zapytał.

- On mnie nie lubi - odparła. - I muszę przyznać, że z wzajemnością. Jak gdyby myślenie o mnie jak najgorzej sprawiało mu szczególną przyjemność. Był przekonany, że to ja na ciebie napadłam.

- Jesteś na to za niska - rzekł Leo ze śmiechem. - Rey w ogóle nie przepada za kobietami. Miał kiedyś dziewczynę, która okazała się prostytutką. Kupił nawet pierścionek, ustalili datę ślubu i wtedy dowiedział się, kim ona jest. Był załamany. Minęło sporo lat, zanim się otrząsnął.

- Wyobrażam sobie. O Boże, nic dziwnego, że kiedy zobaczył mnie w tym przebraniu, pomyślał sobie o mnie to, co pomyślał.

- Coś mi świta, że jakoś dziwacznie byłaś ubrana. Co miałaś na sobie?

- Kostium z okazji Halloween. Wracałam właśnie z imprezy przebierańców, kiedy zobaczyłam tych dwóch typów pochylonych nad tobą. Podniosłam wrzask i spłoszyłam ich.

- To się nazywa mieć szczęście - stwierdził. Wzruszyła ramionami.

- Mojej matki... - zająknęła się. Trudno jej było mówić o tragedii, jaką przeżyła. - Znajomy mojej matki - ciągnęła - uczył karate w wojsku. I on powiedział mi, że w takiej sytuacji najlepiej jest krzyczeć. To zaskakuje napastnika, który bierze nogi za pas. Jak widać, ta metoda działa.

- Nie zawsze. Jestem jak najbardziej za równouprawnieniem kobiet, ale mężczyźni są na ogół wyżsi i silniejsi. Trudno zakładać, że faceta spłoszy kobiecy krzyk.

- A jednak spłoszył.

- W takiej sytuacji lepiej nie ryzykować, tylko wezwać pomoc.

- Na kogo mogłam liczyć? Na tych z imprezy? Połowa gości była pijana, a reszta ze strachu nie wychyliłaby nosa na ulicę.

- Skoro tak ich oceniasz, to dlaczego poszłaś na to przyjęcie?

- Koleżanka orzekła, że potrzebna mi jest rozrywka. No to przebrałam się w stary kostium i pomyślałam, że nie zaszkodzi się zabawić. Źle pomyślałam. Bo czułam się tam fatalnie. Marzyłam tylko, żeby uciec od tej bandy. Co też, na twoje szczęście, zrobiłam.

- Ja też nie lubię takich imprez. Upijanie się to kiepska metoda spędzania wolnego czasu.

Meredith spojrzała przez okno: Rey skończył już tankowanie i wszedł do sklepu.

- Czy on pije? - zapytała.

- Rzadko. Przy jakiejś okazji. Rey ma najgorszy charakter z nas wszystkich, ale to dobry człowiek i w razie potrzeby nie zawiedzie.

- Nie lubi mnie - powtórzyła.

- Daj mu trochę czasu. Na razie wszystko gra - masz pracę, masz gdzie mieszkać, póki nie znikną sińce z twojej twarzy. Przeżyliśmy ciężkie chwile, ale było, minęło i zapomnijmy o tym.

- Jesteś naprawdę miły.

- Miły, porządny, skromny, niepijący i niebywale przystojny - rzekł Leo z uśmiechem.

- Nie mówiąc o innych moich zaletach.

W tym momencie Rey otworzył drzwi samochodu i podał im obojgu kubki z kawą.

- Gorąca - powiedział i wyciągnął z kieszeni torebkę z sokiem w proszku, który wsypał do kubka.

- Dlaczego nie napijesz się kawy jak każdy normalny człowiek? - zapytał Leo.

- Kawę piję na śniadanie - odparł ostro.

- Ja też, tyle że nie jestem aż taki zasadniczy. Rey spojrzał na niego z ukosa i włączył silnik.

- Widziałaś? - zapytał Leo. - Kiedy on mierzy cię takim wzrokiem, tracisz grunt pod nogami.

I zmierzył ją takim wzrokiem, zanim skupił uwagę na jeździe.

Meredith przysła do głowy taka oto myśl: czy aby nie popełnia największego błędu w swoim życiu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tak właśnie Meredith wyobrażała sobie ranczo Hart. Ładne drewniane ogrodzenie uzbrojone od wewnątrz w linię elektryczną niskiego napięcia, imponujące pastwiska dokoła - dla bydła i dla koni. Ale najbardziej jej się podobał dom z pięknym sklepieniem w hiszpańskim stylu, wokół którego rosły drzewa i krzewy. Wiosną musi tu być cudownie, pomyślała. Dwa stawy, jeden dekoracyjny, przed domem, drugi, większy, od tyłu, w którym w listopadowym słońcu pluskały się kaczki.

- Macie w tym stawie złote rybki? - zapytała, gdy samochód zatrzymał się na podjeździe.

- Tak. Są też inne gatunki. Zimą podgrzewamy wodę, żeby nie zmarzły. Rosną tam także lilie wodne i lotosy.

- A w tym stawie za domem, gdzie pływają kaczki, też są złote rybki?

- Nie - odparł ze śmiechem Leo, kaczki by je pozjadały.

- Wiosną musi być tu pięknie. - Westchnęła, omiatając spojrzeniem balkon, gazony róż, kamienne ławeczki i rosnące wokół stawu krzewy.

- Dla nas pięknie tu jest cały rok - oznajmił Leo. - Kochamy kwiaty. Na zapleczu domu założyliśmy spore rosarium przy drzewach pekanowych. Tess uczęszcza na kursy ogrodnicze i zajmuje się krzyżowaniem gatunków.

- Ja też kocham kwiaty - powiedziała Meredith. - Gdyby czas mi na to pozwolił, często chodziłabym do rosarium.

- Sprzątanie pokoi jest czasochłonne - rzekł Rey, idąc w stronę domu.

Leo spojrział na nią badawczo i gdy Rey nie mógł go już słyszeć, zapytał:

- Zajmujesz się sprzątaniem?

- Nie, ale twój brat takie ma o mnie wyobrażenie, a ja nie zaprzeczam.

- Interesujące - stwierdził Leo. - Widać z tego, że masz jakieś tajemnice...

- Owszem - odparła. — Ale nie przynoszą mi one ujmy - dodała szybko, chcąc uprzedzić jego podejrzenia.

- Ciekawe, dlaczego nie możecie się porozumieć. On zazwyczaj nie czepia się ludzi. Tym bardziej chorych.

- Ja nie jestem chora. Tylko pobita.

- Dojdiesz do siebie. I nic ci tu nie zagraża. Twarz ci się zagoi, twój ojciec, będąc pod stałą opieką, zerwie z nałogiem, i całe twoje życie się unormuje.

- Mam nadzieję - rzekła.

Zauważył, że w jej oczach pojawił się lęk.

- Posłuchaj mnie, Meredith. Jeżeli chciałabyś porozmawiać, to jestem do usług. Może przyniesie ci to ulgę.

Spojrzała mu w oczy.

- Dzięki, Leo. Ale rozmowa nic tu nie zmieni. Trzeba się nauczyć... z tym żyć.

- Intrygujesz mnie.

- Nic ci więcej nie powiem. To wszystko jeszcze jest zbyt świeże.

- Może ze mnie głupi farmer, ale czuję, że ten problem nie dotyczy ojca.

- Być może masz rację.

- Tak czy owak, nie przejmuj się i bierz życie takim, jakie jest. Polubisz nasze ranczo, głowę daję.

- Czy aby na pewno? - zapytała na widok Reya, który szedł ku nim z jakąś starszą panią ściskającą w rękę poły fartucha.

- To pani Lewis - powiedział Leo. - Nie może u nas pracować, bo cierpi na artretyzm. Później zapozna cię z gospodarstwem.

Rey pomógł Meredith wysiąść z samochodu. Po czym dokonał prezentacji obu pań.

- Zaniosę bagaż do twojego pokoju - rzekł - a pani Lewis w tym czasie oprowadzi cię po naszym domostwie.

Meredith uśmiechnęła się pod nosem i podążyła za Annie Lewis, która zapewne czyniła nadludzkie wysiłki, by nie zapytać nową pracownicę, co się stało z jej twarzą.

- To ogromny dom i trzeba dobrze się napracować, by posprzątać wszystkie pomieszczenia - powiedziała pani Lewis, prowadząc ją przez korytarz do typowo męskich sypialni, z meblami w hiszpańskim stylu, o brązowych zasłonach i dywanach utrzymanych w tej samej tonacji. - Oni, na szczęście, nie są bałaganiarzami, ale i tak pełno jest tu kurzu i zwierzęcej sierści. Gdy tu nastalam, te dywany były beżowe. - Potrząsnęła" głową z politowaniem. - I to nie wina dywanów, że zmieniły kolor.

- Domyślam się - rzekła Meredith z uśmiechem.

- Oni ciężko pracują i rzadko bywają w domu, ale w oficynie mieszkają kowboje i trzeba na nich uważać.

- Nie zabawię tu długo. Zaproponowali mi tę pracę na krótki okres, póki twarz mi się nie zagoi. - Popatrzyła na panią Lewis, w której oczach wyczytała pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej. - Mój ojciec upił się i mnie uderzył - rzekła po prostu. - To dobry człowiek, ale przeżyliśmy oboje wielką tragedię. On nie mógł się z tym uporać i sięgnął po butelkę, a teraz

sprawy zaszły już za daleko i trafił do więzienia. Nie zdołałam mu pomóc. - Westchnęła ciężko.

Pani Lewis milczała. Objęła ją tylko i przytuliła do siebie. Efekt był taki, że długo powstrzymywane łzy trysnęły z oczu dziewczyny. Rozszlochała się.

Rey stał w drzwiach oniemiały ze zdumienia. Wymienił spojrzenia z panią Lewis. Nie mógł się nadziwić, że ta odważna, silna dziewczyna tonie we łzach. Zrobiło mu się przykro.

Pani Lewis dała mu głową znak, żeby się wycofał. Co też uczynił.

Kolacja była znakomita. Meredith upiekła mnóstwo placków i podała je z różnymi przyprawami. Była również wołowina z jarzynami, ryżem i sałatą. Na deser - owoce ze świeżo ubitą śmietaną. Ilością kalorii deser ów dorównywał plackom.

- Cudo - rzekł Rey, spoglądając na Meredith. - My na kolację jadamy zazwyczaj stek z kartoflami.

- Raz na tydzień można - rzekła. - Ale nie częściej. Bo podnosi poziom cholesterolu. Co innego chuda wołowina, lecz również nie w nadmiarze.

- Mówisz jak prawdziwy dietetyk. - Leo zachichotał.

- Nowoczesna kobieta dba o zdrowie swoich stołowników - oznajmiła. - Skoro tu pracuję, jestem za was odpowiedzialna. Muszę się znać na właściwościach potraw.

- Słusznie - zgodził się Rey. - Ale jeśli chcesz naprawdę tu pracować, nie stawiaj przede mną brukselki ani cykorii. Na sam ich widok robi mi się niedobrze.

- Ja też nie lubię cykorii - powiedziała.

- Chwała Bogu! Jak byłem ostatnio na kolacji u Brewsterów, zjadłem oliwki i ser, a cykorię zostawiłem.

Meredith roześmiała się z jego miny.

- Zdaniem Janie Brewster, cykoria dobrze robi jej ojcu - ciągnął. - Ona zresztą uważa, że jej ojciec wymaga terapii psychologicznej. Bo nie lubi ryb. Według niej ma to związek z jego lękiem przed wodą. - Zerknął na Lea z figlarnym uśmiechem. - Janie jest psychologiem z wykształcenia. W naszym college'u uzyskała stopień naukowy.

- Ma dopiero dwadzieścia lat - odezwał się Leo. - Ale zawsze wszystko wie najlepiej. I pewno dostanie pracę aż w Nowym Jorku - dodał ponurym tonem.

- Dlaczego tak daleko stąd? - zapytała Meredith.

- Bo dopiero na Wschodnim Wybrzeżu może jej się trafić coś odpowiedniego - mruknął. - I dobrze. Przynajmniej zniknie mi z oczu.

Meredith nalała wszystkim kawy. Odnosiła wrażenie, że Leo był zainteresowany tą dziewczyną, lecz udawał, iż nic go ona nie obchodzi.

- Muszę zrobić zakupy - powiedziała, podając deser. - Pani Lewis zrobiła ich listę.

- Jedź do miasta którąś z naszych furgonetek - rzekł Leo.

- Od wielu miesięcy nie prowadziłam samochodu.

- Nie umiesz prowadzić?! - wykrzyknął zdumiony Rey.

Unikała jego wzroku.

- Jeżdżę autobusami - odparła. - Boję się samochodów. Bo...

- Bo co?

Pamiętała ten dzień, gdy powinna była usiąść za kierownicą. Koszmarne wspomnienia...

- Daj jej spokój - powiedział Leo, wyczuwając, że coś złego się za tym kryje. - Ja poprowadzę, dobrze?

- Wolałbym, żebyś nie prowadził. Ty jesteś w gorszym stanie niż ona. Ale nie w tym sęk. - Tu zwrócił się do Meredith: - Z taką twarzą nie możesz pokazać się w mieście.

Ciężar spadł jej z serca. Uśmiechnęła się nawet.

- To prawda - zgodziła się. - A więc ty zrobisz zakupy? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Aż dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Już dawno nikt tak na niego nie patrzył. Stał jak w ziemię wryty z utkwionym w nią wzrokiem. Poczł przyływ pożądania. Leo obserwował ich. Chrząknął. I wtedy Rey uświadomił sobie, że trzyma w dłoni łyżeczkę z deserem. Uniósł ją do ust, połknął kęs owocu, po czym rzekł:

- Tak, kupię, co potrzeba. - Spojrzał na brata, na jego jeszcze świeży szew. - Bo tylko na mnie nikt się nie będzie gapił.

- Jeśli chcesz, żeby ludzie się na ciebie gapiłi, to przespaceruj się po mieście bez portek.

- Wcale nie chcę - odparował Rey.

- Szkoda, bo ciekawy byłby to widok - rzekł Leo z chytrym uśmieszkiem. - Bez spodni wygląda jak strach na wróble - poinformował Meredith. - Ma najbardziej z nas owłosione nogi.

- Rzecz do dyskusji. Ja bym stawiał na ciebie.

- Na szczęście jesteście Szkotami - wtrąciła nieśmiało Meredith.

Dopiero po chwili zorientowali się, do czego ona nawiązuje, i Leo, wyobrażając sobie brata w spódnicy szkockiej, wybuchł gromkim śmiechem. Reyowi nie było do śmiechu. Złościło go, że Meredith płakała w ramionach pani Lewis, że nie prowadziła samochodu, że była taka tajemnicza.

Poczuł ucisk w sercu. Przypomnił sobie, jak siedząc w samochodzie, dotykała dłonią serdecznego palca. Spojrzał wtedy na jej rękę. Nie miała obrączki i żaden ślad nie wskazywał na to, że ją nosiła. Samotna, prawdopodobnie z wyboru. Lecz czy w jej życiu był jakiś mężczyzna?

Patrzył teraz na nią podejrzliwie. Miała dobrą figurę. Nie czerwieniła się i nie szafowała promiennymi uśmiechami, jak to czyniła Janie Brewster, gdy Leo był w pobliżu. Była osobą spokojną, poważną, zrównoważoną. I najwyraźniej przywykłą do wydawania poleceń. Stanowiła dla niego zagadkę, co działało mu na nerwy. On i Leo zaufali jej, okazali jej współczucie i pomoc, a jeśli okaże się, że popełnili straszliwy błąd?

Tak, trzeba zatem zachować daleko idącą czujność, bez względu na to, że sam jej widok podnosił mu ciśnienie krwi. Nie wolno mu się z tym zdradzić. Na każdym kroku winien mieć oczy i uszy otwarte.

Minął tydzień. Twarz Meredith powoli wracała do normy. I równie powoli wracał jej dobry nastrój. Życie, jakie tu wiodła, różniło się zasadniczo od tego, do jakiego przywykła, i zaczęła odczuwać brak swoich dawnych codziennych zajęć. Z biegiem dni uświadomiła sobie, że w domu nie miała właściwie czasu na myślenie. Uciekała od myśli, jakby w nadziei, że w ten sposób wymaże przeszłość. Teraz stanęła z nią oko w oko, i musiała przemyśleć to wszystko, co się wydarzyło.

Pewnego słonecznego popołudnia siedziała nad stawem i obserwowała złote rybki baraszkujące pod powierzchnią stawu. Woda była zimna, choć nie skuł jej lód. Podgrzewacz działał na niewielkiej przestrzeni. Toteż rybki skupiały się w tym właśnie miejscu. Pomyślała, jak przyjemnie by tu było w lecie, wśród kwitnących kwiatów.

Lubiła zajmować się kwiatami. Tęskniła do swego dawnego domu, do krzewów i roślin, jakie uprawiała. Co było, minęło, znikło, i nie trzeba wracać do wspomnień, które boją. Powinna patrzeć w przyszłość i kierować się rozsądkiem. Przyszła jej nagle na myśl ta śmieszna czapeczka baseballowa Mike'a, którą wkładał, gdy szedł na ryby. I małe chińskie szkatułki matki, i jej piękne wieczorowe suknie. Pozbyła się tego wszystkiego. A stało się to wówczas, gdy doszła do wniosku, że należy zerwać wszelkie łączące ją z przeszłością więzy. Teraz żałowała swego uczynku. Postąpiła wówczas zbyt pochopnie.

Przykuł jej uwagę odgłos zatrzymującej się na podjeździe ciężarówki. To Leo i Rey wrócili z Denver, gdzie odbył się kolejny wielki zjazd hodowców bydła. Z torbami podróżnymi wysiedli z szoferki, pomachali kierowcy, który, włączywszy silnik, odjechał.

Meredith ruszyła w ich stronę.

- Macie ochotę na kawę i placki? - zapytała.

- Trafiałś w sedno - rzekł Leo z uśmiechem.

- Sińce z twojej twarzy już znikają - zauważył Rey. - Nabrałaś nawet rumieńców.

- Siedziałam trochę na słońcu - odparła. - Lubię patrzeć na ryby.

- Można by zbudować wielkie akwarium - rzekł Rey, a jego brat spojrzął na niego badawczo. - Ja też lubię patrzeć na ryby.

- Podobno obserwowanie ryb działa kojąco na człowieka - rzekła Meredith. - Likwiduje stres. - Pomysł wart zastanowienia - powiedział Leo ze śmiechem. - Zarobiłoby się na tym przedsięwzięciu, gdy ceny bydła lecą w dół, a paszy - idą w górę.

- Kulejesz? - zapytał Rey, patrząc na idącą przed nimi dziewczynę.

Dotknęła dłonią biodra.

- Nie wiedziałam, że jest to widoczne. Tak, trochę boli mnie noga. Wtedy upadłam. A podłoga, jak wiadomo, jest twarda.

- Przy swojej sypialni masz jacuzzi - przypomniał jej Rey. - To ci dobrze zrobi.

- Wiem - rzekła. - Luksus niesamowity! W domu mam tylko prysznic, który w dodatku często się psuje.

- Gdy będę miał wolną chwilę, to postaram się czegoś dowiedzieć o twoim ojcu, jeśli oczywiście masz takie życzenie.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna - rzekła, patrząc na Reya z promiennym uśmiechem.

Obserwował ją. Lubił patrzeć, jak w jej oczach zapala się błysk radości. Jest niebrzydka, myślał, a figurę ma prawie bez zarzutu. Ciekawe, dlaczego taka dziewczyna, o takich kształtach, a przy tym tak dobra gospodyni, nie wyszła dotąd za mąż?

Całkiem nieświadomie mierzyła go równie aprobowującym spojrzeniem. Był dobrze zbudowany. Poruszał się z wdziękiem torreadora, smukły, wyprostowany. Ale najbardziej lubiła jego oczy, jasnobrązowe, w ciemnej oprawie. Emanowała z niego siła i zmysłowość, a gdy teraz patrzyła na jego usta, pomyślała po raz pierwszy, co by to było, gdyby ją pocałował.

Lęk ją ogarnął na tę myśl. Odwróciła się i poszła parzyć kawę.

Leo spojrzął na brata.

- No, no - mruknął. - Wygląda mi na to, że wpadłeś jej w oko, braciszku.

- Przestań - rzekł Rey.

- I ona tobie - dokończył z widowym rozdrażnieniem.

Rey burknął coś pod nosem i skierował się do swego pokoju. Przebrał się w dzinsy i luźną bluzę. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze i przypomniał mu się rumieniec, jaki zabarwił policzki Meredith. Niedobrze, stwierdził w duchu. Przecież nie ufał tej dziewczynie. Kto wie, czy ona nie robi ich w konia, pomyślał, a mimo to uśmiech rozjaśnił mu twarz.

W kuchni czekała już na braci kawa i placek z wiśniami.

- Świeżo zaparzona - powiedziała Meredith.

- A ty nie napijesz się z nami? - zapytał Rey.

- Muszę włożyć ubrania do suszarki - rzekła.

Rey utkwił wzrok w placku. Nie chciała napić się z nimi kawy? Dlaczego?

- Działasz jej na nerwy - odpowiedział Leo na niezadane pytanie. - Ona czuje, że jej nie ufasz.

- Nie znam jej. Zawsze do tej pory zasięgaliśmy opinii o kandydatkach do pracy - rzekł sucho. - I ona nie powinna stanowić wyjątku, choć zatrudniamy ją na krótki okres.

- Mówiąc wprost, chcesz się dowiedzieć o niej czegoś więcej, tak?

- Właśnie. Jeśli ona nie jest osobą, za jaką się podaje, może to się źle dla nas skończyć. O mało nie umarłeś, o mało nie doznałeś urazu mózgu. - Zamilkł na chwilę. - A jeśli ona była w zмовie z tymi bandziorami?

- Nie lubię wtykać nosa w nie swoje sprawy - oświadczył Leo. - Ale masz słuszość. Należy zasięgnąć o niej informacji.

- Jutro rano skontaktuję się z agencją - powiedział Rey, jedząc placek. - Jest cholernie dobrą kucharką - dodał.

- I doskonale parzy kawę - uzupełnił Leo.

W tym miejscu bracia mrugnęli do siebie znacząco.

Gdyby Meredith dowiedziała się o ich zamiarach, byłaby na pewno bardzo tym dotknięta. Leo obiecał sobie w duchu, że najpierw sam zapozna się z danymi dotyczącymi jej osoby, a dopiero potem pokaże je bratu. Jeżeli natomiast Meredith miała jakąś tajemnicę, która żadnemu z nich nie zagrażała, to on Reyowi jej nie udostępni.

Dopiero po kilku dniach prywatny detektyw przekazał raport braciom Hart. Rey przebywał w tym czasie w mieście, brał udział w seminarium związanym z nowym programem komputerowym. Leo wziął raport i zamknął się w swoim gabinecie.

Gdy skończył czytać, westchnął ciężko. A więc to była ta jej tajemnica! Nic dziwnego, że jej ojciec się rozpił. Nic dziwnego, że wołała nie mówić o swojej przeszłości. Uśmiechnął się na myśl o jej prawdziwym zawodzie i postanowił możliwie jak najdłużej nie ujawniać go przed Reyem. Jego brat zbyt był skory do szybkich osądów. Meredith wołała widocznie zachować anonimowość, a biorąc pod uwagę stres, jaki towarzyszył jej w pracy, to całkiem zrozumiałe, że znajdowała przyjemność w pełnieniu najzwyczajniejszych gospodarskich obowiązków. Niech zatem cieszy się tą odmianą, i nie należy wkraczać w jej prywatność. Nie ulega kwestii, że wciąż cierpi, choć od tamtego czasu minęło parę miesięcy.

Leo, zmarszczywszy czoło, zaczął czytać raport po raz wtóry, natykając się na znane sobie nazwiska. Mike był policjantem w Houston. Przyjaźnił się z Colterem Banksem, pracownikiem tamtejszej straży miejskiej, kuzynem braci Hart. Jaki ten świat jest mały, pomyślał Leo. Chętnie powiedziałaby Meredith, że pamięta Mike'a, ale nie wolno mu było burzyć jej anonimowości.

Wsunął teczkę do szafy z aktami, umyślnie pod inną literę. Gdy Rey zapyta go, czy nadszedł raport, powie, że agencja ma na razie ważniejsze sprawy na głowie.

Meredith była sama w domu, gdy Rey wieczorem wrócił z miasta. Leo poszedł na kolację do Brewsterów, na którą zaprosił go ojciec Janie, by omówić sprawę sprzedaży Hartom byka.

Zmyła już naczynia i zamierzała zgasić światło w kuchni, gdy usłyszała kroki Reya w korytarzu. Stała w drzwiach. Rey miał na sobie szary garnitur, podkreślający smukłość jego muskularnej sylwetki. Meredith była boso, w dżinsach i czerwonej koszulce. Włosy miała w nieładzie, bo, zamiatając podłogę, schylała się, nie zadbała również o makijaż. Wszystko to razem wzięte spieszyło ją. Nie przypuszczała, że przed pójściem spać spotka któregoś z braci.

Rey spojrzał na jej gołe stopy i uśmiechnął się.

- Lubisz chodzić boso? - zapytał.

- Nie - odrzekła. - I nie powinnam. - Spojrzała na niego uważnie. Wyglądał mizernie. - Napijesz się kawy i zjesz coś?

- Z przyjemnością.

- Zrobię ci kanapki z szynką.

- Dzięki. - Usiadł przy stole, kapelusz położył na krześle obok i przeczesał dłonią te swoje gęste czarne włosy. - Ale na razie poproszę tylko o kawę. Mam jeszcze trochę roboty papierkowej, nim jutro rano przekażę sprawę naszemu księgowemu.

- Nie możesz z tym poczekać? Jesteś zmęczony i powinieneś się położyć.

Popatrzył na nią.

- Nie potrzebuję matkowania - powiedział z zaskakującym gniewem.

Splonęła rumieńcem i odwróciła się od niego. Nie rzekła słowa, ale gdy nalewała kawę do kubka, ręka jej drżała.

Rey zaklął w duchu. Jak mógł tak na nią napaść?! Chciała podać mu coś do zjedzenia. Ta dziewczyna ciężko tu przecież pracowała. Spojrzał na czystą podłogę i szczotkę, którą właśnie odłożyła. Tak, nie tylko on był zmęczony. Uniósł się z miejsca i stanął tuż za nią. Chwylił ją i obrócił ku sobie.

- Przepraszam - powiedział niskim głosem, w którym pobrzmiwało wzruszenie.

Dotknęła chłodnymi palcami jego dłoni i całe jej ciało przeszły dreszcz. Z trudem chwyciła powietrze. Objął ją, słyszał jej przerywany oddech. Czuł drżenie jej ciała. Pochylił się i przywarł ustami do jej szyi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ledwo trzymała się na nogach. Bała się, że osunie się na podłogę. Od wielu lat żaden mężczyzna nie wyzwał w niej takich emocji. Straciła wtedy głowę dla kogoś, kto traktował ją właściwie jak siostrę. Lecz nawet wówczas nie doznawała tak silnych uczuć jak teraz, w ramionach Reya.

Całował ją coraz bardziej natarczywie. Wędrował ustami po jej szyi, w skupieniu, ciszy, która aż porażała namiętnością. Pieścił językiem jej podbródek, sięgnął ust. Jego dłonie jego prześliznęły się po jej piersiach, biodrach. Wtulił ją w siebie.

Uświadomił sobie nagle ze zdziwieniem, że jej ciało nie współgra z jego ciałem. Poddawała się jego pieszczotom, ale jak gdyby nie znała gry miłosnej.

Całując oporne usta dziewczyny, kierował jej dłońmi, rozpiąwszy uprzednio guziki swej koszuli. Czuł, że pożądała go, choć pozostawała bierna.

- Całuj mnie tak - szeptał - jak ja całuję ciebie. Nie walcz z własnymi uczuciami, daj im wyraz.

Słowa Reya docierały do niej jak przez mgłę. Nie rozumiała go, ale jej ciało było mu posłuszne. Położyła mu ręce na piersi, uniosła głowę i zmrużonymi oczyma patrzyła na niego. Gdy przywarł ustami do jej ust, oddała mu pocałunek. A on całował ją coraz mocniej, coraz głębiej sięgał językiem. Widziała błysk w jego oczach, czuła obejmujące ją silne dłonie. Patrzyła na niego zafascynowana, bezwładna w jego ramionach. A on doznawał dziwnego uczucia, jak gdyby ta dziewczyna wyzwała w nim instynkt opiekuńczy.

Nie było już w nim niedawnej pasji - czule ją tylko obejmował. Całował też inaczej, delikatnie, bez uprzedniej zachłanności. Jej dłonie wędrowały po jego nagiej piersi.

Uniósł głowę i spojrzał w jej szeroko rozwarte oczy. Oddech miał urywany. Wolałby ukryć przed nią swe emocje. Tak mało o niej wiedział i wciąż nie potrafił jej zaufać. Wszystko świadczyło o jej niewinności, lecz nie mógł zapomnieć tego jej stroju, a także słów ojca rzucanych pod adresem córki. Ale jego ciało pragnęło tej dziewczyny. Nie pozwoli jej odejść. Jeszcze nie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała.

- A dlaczego pozwoliłaś mi na to? - Twarz miał poważną, bez cienia uśmiechu.

Poczuła się nieswojo. Pokonując samą siebie, odsunęła się od niego. Nie zrobił nic, żeby ją zatrzymać. Obserwował, jak walczy, by nad sobą zapanować, podczas gdy on zapinał guziki koszuli, ukrywając starannie wrażenie, jakie ta dziewczyna na nim wywarła.

- Teraz pora na kawę - rzekł, a ona stała jak w ziemię wryta, niezdolna ruszyć się z miejsca.

, W końcu zmusiła się do działania. Postawiła na stole kubki, śmietankę i cukier. Potem, opanowując drżenie dłoni, robiła mu kanapki z szynką.

Jego pocałunki poruszyły ją do głębi, była jak otumaniona, podczas gdy on zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Pomyślała o reakcji jego ciała, ale znała się na anatomii i wiedziała, że w określonych okolicznościach tak reaguje każdy mężczyzna. I niczego szczególnego dopatrywać się w tym nie należy.

Ta świadomość nie przyniosła jej jednak ulgi. Czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że ocenia ją krytycznie. Nie miała pojęcia, dlaczego ją całował, i nie wierzyła w szczerść jego intencji. Nie lubił jej. Tak, ona musi mieć się na baczności. Kobieta, która go pokocha, skazana jest na cierpienie. Była tego pewna.

Kanapki były już gotowe i Meredith, w miarę opanowana, postawiła z lekkim uśmiechem talerz na stole.

- Muszę posprzątać salon - zaczęła. Chwycił ją za rękę.

- Siadaj - rzekł spokojnie i stanowczo.

Usiadła. Pił kawę drobnymi łykami i przez dłuższy czas wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Rozmawiałem z Simonem - rzekł wreszcie. - Twojego ojca wypuszczono z więzienia i umieszczono w Centrum Leczenia Alkoholizmu. Jest tam dopiero parę dni, ale rokowania są dobre. Tym bardziej, że miał długą przerwę w picciu.

Ucieszyło ją to, ale czekała z niepokojem na dalsze wiadomości.

- Lekarze - kontynuował - nie zdradzili Simonowi, jak się domyślasz, żadnych bliższych szczegółów. Powiedziano mu jednak, że alkoholizm twego ojca ma związek z tragedią, jaką przeżyła twoja rodzina. Gdy wytrzeźwiał, bardzo był wzburzony tym, że cię pobił. Nic nie pamiętał - dodał Rey z posępną miną.

Opuściła wzrok na stojący przed nią kubek. Sięgnęła po niego i wypła łyk kawy.

- To typowe dla ciągu alkoholowego - rzekła cicho.

- W trakcie kuracji odwykowej nie wolno ci się z nim kontaktować, ale prosił, żeby ci powiedzieć, że bardzo boleje nad tym, co zrobił.

Przygryzła wargi. Wiedziała o tym. Wiedziała, że jej ojciec nie jest zły. Zanim zaczął pić, był najłagodniejszym człowiekiem na świecie. Lecz, jak wszyscy ludzie, miał swoje wady i gdy spotkała go tragedia, nie potrafił stawić jej czoła.

- To dobry człowiek - powiedziała. - Choć wiem, że osobie postronnej trudno w to uwierzyć.

- Miałem do czynienia z pijakami - rzekł. - No i moi bracia upijali się nierzadko. - Uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, Leo osiągnął swoisty rekord w przysparzaniu szkód właścicielowi baru za miastem.

- Nigdy bym go o to nie posądziła - stwierdziła Meredith ogromnie zdziwiona.

- My wszyscy zaliczamy się do mężczyzn, którzy zdolni są do takich wyskoków.

- A ty upijasz się i demolujesz bary?

- Ja nie piję z zasady. Czasami wypiję kieliszek wina, ale nic mocniejszego. Nie lubię alkoholu.

- Ja też nie - rzekła z uśmiechem.

Nie spuszczać z niej wzroku, odchylił się na oparcie krzesła.

- Rozpuść włosy - powiedział ni stąd, ni zowąd.

- Słucham?

- Rozpuść włosy - powtórzył dziwnie zmienionym tonem. - Chcę zobaczyć, jak wyglądasz z rozpuszczonymi włosami.

Już zdołała zapanować nad nerwami i znów serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

- Ja przecież u ciebie pracuję - powiedziała z drżeniem w głosie.

Wstał i powoli, jakby od niechcenia, podszedł do niej. Zaczęła wyjmować spinki z włosów, które bujną falą opadły jej na ramiona i przysłoniły jedno oko.

- Z rozpuszczonymi włosami nie potrafię niczym się zajmować - rzekła.

- Uwielbiam długie włosy. - Zanurzył w nie dłoń i spojrzał z bliska w jej oczy. - Całowałem dziewczyny dużo młodsze od ciebie, które były nawet bardziej niż ja doświadczone w tej kwestii. Dlaczego ty jesteś taką nowicjuszka?

Z trudem przełknęła ślinę. Brakło jej tchu. Dotknęła lekko jego piersi.

- Słucham? - zapytała, jakby jego pytanie nie dotarło do jej świadomości.

Z zachwytem bawił się jej włosami.

- Jesteś niebrzydka, Meredith. Na pewno umawiałaś się z chłopakami.

- Owszem - odparła. - Tylko że ja jestem staroświecka.

Uniósłszy w górę brwi, uśmiechnął się cynicznie.

- Możesz mi to wytłumaczyć?

- A dlaczego to takie dziwne? - Spojrzała na niego.

- Feministki walczą głównie o swobodę wyboru. Ja nie pochwalam rozwiązłości. Dlaczego mam się z tego tłumaczyć?

Zdał sobie sprawę z absurdalności swego pytania.

- Sądziłem, że feministki walczą przede wszystkim o wyzwolony seks.

- Być cnotliwą w dobie wyzwolonego seksu to całkiem niezłe rozwiązanie - oznajmiła. - Zdziwiłbyś się, ile dziewcząt na ostatnim roku przed dyplomem hołdowało abstynencji seksualnej.

- Przed maturą, jak się domyślam - rzekł, bawiąc się wciąż jej włosami.

Mało brakowało, a poprawiłaby go, ale była przecież pomocą domową i chciała utrzymać go w tym mniemaniu.

- Tak, przed maturą.

Jeszcze bardziej się do niej przysunął. Roześmiał się.

- Nie zechciałabyś udowodnić mi słuszności tej tezy, której bronisz?

- Pracuję u ciebie - powtórzyła.

- I co z tego?

- Nie należy łączyć pracy...

- Z przyjemnością, tak? - Przyciągnął ją do siebie. Dawno nie spotkałem kobiety, której bym tak pożądał.

Szukanie nudzi mnie. Ty jesteś dla mnie... wyzwaniem.

- Dzięki, ale nie chcę być żadnym wyzwaniem - rzekła, starając się go odepchnąć.

- Nie chcesz poznać wielkiej niewiadomej?

- Nie zamierzam jej traktować przedmiotowo, jak ty to sugerujesz.

Wahał się przez chwilę, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Zgoda, Meredith. Zjem te kanapki i oboje będziemy udawać, że nic się nie stało.

- Słusznie - rzekła, odstawiając pusty kubek. Wyszła niebawem do salonu, by zrobić porządek z leżącymi wszędzie gazetami, które Leo czytał przed udaniem się do Brewsterów. Chętnie skorzystała z tego pretekstu, bo obecność Reya wytrącała ją z równowagi.

Gdy wróciła do kuchni, zbierał się właśnie do wyjścia.

- Nie przejmuj się, nic ci z mojej strony nie grozi - powiedział. - Będę pracował w swoim gabinecie. Gdzie jest Leo?

- U Brewsterów na kolacji - odparła. - Powiedział, że wcześniej wróci.

- To znaczy, że wróci późno. Już Janie się o to postara. To uparta dziewczyna, tylko że Leo jest równie uparty. Nie chce się z nikim wiązać.

- Coś mi to przypomina - mruknęła. Zmierzył ją od stóp do głów.

- Ja nie mówiłem, że nie chcę się z nikim wiązać. Powiedziałem, że nie chcę się zenić.

A to różnica.

- A ja nie mam czasu na żadne związki - rzekła lekkim tonem.

- Oczywiście, sprzątanie zajmuje mnóstwo czasu - powiedział z ironią.

Zarumieniła się. Ten facet nie miał pojęcia, na czym polega jej praca, i raptem zachciało jej się powiedzieć mu o tym. Lecz ta jego pewność siebie granicząca z arogancją powstrzymała ją przed szczerym wyznaniem. I tak, prędzej czy później, dowie się o tym. Ujawszy się pod boki, rzekła:

- A co złego widzisz w pracy gospodyni? Co byście robili bez pomocy domowej, która sprząta, piecze i gotuje dla was? Musielibyście albo się ożenić, albo nauczyć kucharzenia. Mam rację?

- Jeżeli muszę, to gotuję - powiedział.

- Jesteś typem mężczyzny - zaczęła lodowatym tonem - któremu żadna kobieta wolałaby nie służyć. Zachowujesz się jak wielmoża na zamku!

- Nie mieszkamy w zamku. Zamki są w Anglii. My naszą siedzibę nazywamy ranczem. - I po chwili dodał:

- Do twarzy ci z tą złością. A kanapki były świetne.

- Nic nadzwyczajnego - powiedziała zdziwiona.

- W ogóle smakują mi dania, jakie przyrządzasz. Podoba mi się też sposób gamirowania posiłków, dzięki temu wyglądają bardzo apetycznie.

Nie przypuszczała, że to zauważył.

- Nauczyłam się tej sztuki od dietetyczki - rzekła.

- Idę teraz posprzątać kuchnię.

Odprowadzał ją wzrokiem i rad był, że nie widziała wyrazu jego twarzy. Myślał o smaku jej pocałunków. Nie powinien był tak jej całować. To już się nie powtórzy, postanowił. Lepiej nie komplikować sobie życia.

Po tym dniu nic już między nimi nie było takie jak dawniej. Gdy Rey znajdował się w pobliżu, ciarki przebiegały Meredith po plecach. Wodziła za nim wzrokiem, a gdy on ją na tym przyłapał, czerwieniła się po korzonki włosów.

Leo zauważył to i miał za złe bratu, że zwodzi dziewczynę. Wiedział przecież, że Rey jest zatwardziałym przeciwnikiem małżeństwa.

- Dlaczego to robisz? - zapytał go kiedyś wieczorem, gdy byli sami w pokoju.

Rey obrócił ku niemu zdziwiony wzrok.

- Czyżbyś uważał, że flirt to rzecz naganna?

- W tym wypadku tak - odrzekł Leo. - Ty jesteś w tym dobry, ona nie.

- Przecież ma już swoje lata - stwierdził Rey, wruszając ramionami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że ją uwiedziesz? Ta dziewczyna dość się już nacierpiała przez ojca. Duszę wciąż ma okaleczoną. Nie stosuj wobec niej tych swoich zagrywek.

- I kto to mówi?! - zapytał z gniewem Rey. - Od tygodni zwodzisz Janie Brewster, a obaj dobrze wiemy, że nie masz wobec niej poważnych zamiarów. Chodzi ci tylko o tego cholernego byka!

Leo zamrugnął powiekami.

- Janie to jeszcze dziecko. A ja nie jestem żadnym uwodzicielem! I ten cholerny byk nie ma tu nic do rzeczy!

- Ona nie jest już dzieckiem - odparował Rey. - Mącisz jej w głowie, wiedząc doskonale, że jest w tobie zakochana.

- Wcale nie jest we mnie zakochana! Najwyżej zadurzona!

- Nie widzisz, jak na ciebie patrzy? Leo chrząknął.

- Mówimy o Meredith, nie o Janie - rzekł ostro. Rey zmrużył oczy.

- Meredith jest dorosła - przypomniał.

- Ale pracuje u nas. Nie zamierzam przyglądać się obojętnie, jak ją podrywasz.

- Czyżbyś był zazdrosny?

- Prowokujesz sprzeczkę? - zapytał Leo lodowatym tonem. - Znów mamy się pokłócić o kobietę.

Oczy Reya rozbłysły.

- Gdybyś nie zaczął w mojej obecności składać Carli niedwuznacznych propozycji, nic bym o niej nie wiedział. To był dla mnie cios. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Mam nadzieję, że zapomnisz. Ona złamałaby ci życie. Jesteś moim bratem. Nie mogłem obojętnie przyglądać się temu.

Rey wymruczał przekleństwo i odwrócił wzrok. Leo miał rację: uratował go przed nieszczęściem, lecz mimo wszystko bolała go rola brata w tej aferze.

- Nie próbuj swoich sztuczek z Meredith - powiedział stanowczo Leo. - Ona dosyć się już w życiu nacierpiała. Zostaw ją w spokoju.

Rey spojrzał przez ramię.

- To niech ona zna swoje miejsce w tym domu! - oświadczył z wściekłością. - Gdziekolwiek się ruszę, ona już tam jest i pożera ranie wzrokiem. Nie jestem święty!

- Nie podnoś głosu - ostrzegł go Leo.

- Niby dlaczego? Myślisz, że stoi za drzwiami i podsłuchuje? A nawet jeśli? To niech wie! Leci na mnie. Nawet ślepiec by to dostrzegł.

- To nie powód, żebyś ją wykorzystał. Ona nie jest z tych, z jakimi na ogół się zadajesz.

- Faktycznie. Dziewczyna bez ambicji. A przy tym tak nieznająca się na rzeczy, że aż nie do wiary. Nigdy nie sądziłem, że całowanie kobiety może być tak nudne - powiedział, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. - Żenująca naiwność!

Meredith, z filiżanką kawy w drżącej ręce, stała za drzwiami niczym posąg. Niosła kawę dla Reya i usłyszała słowa nieprzeznaczone dla jej uszu. Łykając łyż, wróciła szybko do kuchni.

Serce nie jest przedmiotem łamiącym się łatwo, powtarzała sobie w duchu, wycierając ręcznikiem łyż. Po chwili uprzytomniła sobie ku własnemu przerażeniu, że Rey mówił prawdę: często wpatrywała się jak urzeczona w niego. Był przystojny, atrakcyjny, przyciągał wzrok. Lubiła na niego patrzeć. Może i zadurzyła się w nim... Ale nie dawało mu to prawa do obrażania jej. Jak mógł wygadywać o niej takie straszne rzeczy?!

Czuła się upokorzona. Rzadko ujawniała swoje uczucia i nie zwykła im się poddawać, ale przecież Rey całował ją z takim zapamiętaniem, że zaczęła łączyć z tym jakieś nadzieje, snuć marzenia. Zdała sobie teraz sprawę z własnej naiwności. Pierwszy od lat mężczyzna zwrócił na nią uwagę i ona już straciła dla niego głowę. Leo uważał swego brata za kobieciarza i miał rację. Rey przywykł widocznie do kobiet lubujących się w takich zmysłowych igraszkach. Tak więc te pocałunki, które tyle dla niej znaczyły, były dla niego tylko grą. A ona tak serio je potraktowała.

Może być spokojny, pomyślała. Ona, Meredith, więcej sobie na to nie pozwoli. Od dziś jest tylko pracownicą, uprzejmą, miłą, sympatyczną, ale nawet nie spojrzy w jego stronę. Dzięki Bogu, że usłyszała słowa Lea. Oszczędzi jej to dalszych upokorzeń. Teraz pocierpi trochę, za to później nic jej nie zaskoczy. Zawsze przecież głosiła pogląd, że prawda, nawet najgorsza, jest lepsza od kłamstwa. Przyszła pora, by tę maksymę zastosować wobec siebie.

Nazajutrz rano, gdy obaj bracia zeszli na dół na śniadanie, na które składały się jajka na bekonie i placki, Meredith przywitała ich chłodnym, profesjonalnym uśmiechem.

Rey był wyraźnie przygnębiony. Nie obrzucił jej badawczym, aroganckim wręcz spojrzeniem, co ostatnio weszło mu w zwyczaj. Właściwie to w ogóle na nią nie spojrzał. Leo wszczął rozmowę o różnych gospodarskich sprawach. Niektóre chore sztuki bydła musi zbadać weterynarz, należy je zatem spędzić na położone bliżej domu pastwisko.

- Czym oprócz siana karmicie bydło? - Meredith trochę na siłę włączyła się do rozmowy.

- Stosujemy różne mieszanki - odparł Leo. - Ale bez zwierzęcego białka. Pod tym względem nie jesteśmy nowoczesni. Żadnych hormonów, żadnych pestycydów, wyłącznie naturalne środki. Dzięki temu zaopatrujemy w mięso i jego przetwory sieć supermarketów, założyliśmy ponadto stronę w internecie, by poszerzać dystrybucję.

- Ciekawe - przyznała. - Pieczeń jak sprzed wieku.

- Bo taka też ludziom smakuje. My stawiamy na zdrową żywność. Aha, byłbym zapomniiał, pani Lewis prosiła mnie, bym cię zapytał, co ty dodajesz do ciasta na placki.

- Oliwę z oliwek - odparła.

Rey spojrział na placek, który trzymał w ręku, takim wzrokiem, jakby znalazł w nim włos.

- Oliwę?

- To najzdrowszy roślinny tłuszcz - stwierdziła Meredith.

Bracia spojrzeli po sobie.

- No cóż - powiedział Leo - nie widzę żadnej różnicy.

- To prawda - zgodził się Rey po chwili. - Ale z masła nie zamierzam rezygnować. Nie ma nic lepszego niż chleb posmarowany świeżym, pachnącym masłem.

Meredith odwróciła wzrok. To, czym Rey smarował chleb, było najzwyczajszą margaryną. Uśmiechnęła się pod nosem i dołała sobie kawy.

Obaj bracia spędzali właśnie byki z niżej położonego pastwiska, gdzie trawa kwitła aż do późnej jesieni, gdy wielki byk szarpnął się nagle i uderzył rogiem w ramię Lea.

Leo krzyknął i kopnął go, lecz zwierzę nie raczyło się nawet obejrzeć i pocwałowało nonszalancko w stronę nowego pastwiska.

- Pokaż, jak to wygląda - powiedział Rey, zleciwszy kowbojom dokończenie dzieła.

- Chyba trzeba będzie założyć szwy - rzekł Leo przez zaciśnięte usta. - Zawieź mnie do domu, zmienię koszulę i pojedziemy do Lou Coltrain.

- Cholerne byczysko - warknął Rey, pomagając bratu wsiąść do ciężarówki.

Gdy zajechali przed dom, Meredith kończyła właśnie zamiatanie schodów. Spojrzała na zakrwawiony rękaw koszuli Lea.

- Pozwól, że obejrzę - powiedziała. Nie zważając na zakłopotaną minę Reya, zawinęła rękaw, wilgotnym płótnem przemyła ranę i założyła opatrunek. - Tak, konieczne są szwy. W drodze do miasta uciskaj bandaż.

- Muszę zmienić koszulę - zaczął Leo.

- Musisz jechać do lekarza. Do którego mam zadzwonić?

- Do doktor Lou Coltrain - odparł.

- Zaraz zadzwonię, a wy już jedźcie - poleciła nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Rey spojrzał na nią z zaciekawieniem, prowadząc brata z powrotem do ciężarówki.

Wyszła im na spotkanie pielęgniarka doktor Lou i zaprowadziła do gabinetu.

- Trzeba założyć szwy - zdecydowała lekarka. - A jak się zapatrujesz na zastrzyk przeciwężcowy?

Leo skrzywił się.

- No wiesz...

- Nie martw się. - Klepnęła go po ramieniu. - Załatwimy to błyskawicznie.

- Nie cierpię zastrzyków - rzekł Leo, patrząc błagalnie na brata.

- Tężec jest sto razy gorszy - oświadczył Rey. - Poza tym doktor Lou nagradza podobno grzecznych pacjentów gumą do żucia.

Leo zmierzył Reya piorunującym spojrzeniem.

Leo przyjechał wreszcie do domu. Meredith podała mu kawę, ukroiła kawałek placka z wiśniami i poprawiła poduszkę na oparciu krzesła.

Rey z kamienną twarzą przyglądał się tym zabiegom.

- Może i mnie coś się należy? - zapytał. Spojrzała na niego bez cienia uśmiechu.

- Tobie się należy figa z makiem - powiedziała. Uniósł na nią wzrok. Czuł się tak, jakby go ktoś za karę postawił w kącie bez kolacji. Nieprzyjemne doznanie. Popatrzył ponuro na nich oboje i naburmuszony wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Źle się zachowałam - rzekła Meredith, gdy zostali sami. - Znow naraziłam się twojemu bratu.

- Bardzo dobrze. Niech się przekona, że nie wszystkie kobiety na niego lecą. Nadmiar sukcesów niejednego porządnego mężczyznę wywiódł na manowce.

- Nic dziwnego, że podoba się kobietom.

- Od czasów podstawówki umawiał się z dziewczynami. Ale zaangażował się naprawdę tylko raz. Okazało się potem, że niezły był z jego wybranki numer. I dlatego zraził się do kobiet.

- Nie można uogólniać - rzekła, popijając kawę.

- Przykład naszej matki też zrobił swoje. Zostawiła ojca z pięcioma chłopakami i tyle ją było widać... Mimo to trzech spośród nas ożeniło się i wszyscy dobrze trafili.

- Ja też miałam brata...

- Wiem - oznajmił ku jej zdziwieniu. - Michael Johns. Był policjantem w Houston.

- Skąd wiesz?

- Pamiętasz Coltera Banksa?

- Tak. Był przyjacielem Mike'a.

- Colter jest naszym kuzynem. Ja też znałem Mike'a.

Zacisnęła pięść, usiłując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- Czy ktoś jeszcze... o tym wie?

- Nie, nikt. Moi bracia widywali się z Colterem bardzo rzadko, a Mike'a w ogóle nie znali. Nie powiedziałem im o tym i nie zamierzam tego zrobić.

Meredith spojrzała mu prosto w oczy.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się o mnie? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Wszystkiego - rzekł. Zrobiła głęboki wydech.

- I nie podzieliłeś się tą wiedzą z Reyem?

- Wolałabyś, żebym zachował to dla siebie, prawda? Ale w swoim czasie Rey dowie się prawdy i tak i może mieć żal, nie uważasz?

- Nie zamierzałam tworzyć wokół siebie nimbu tajemniczości. Wszystko jest jeszcze zbyt świeże i po prostu trudno mi o tym mówić.

- Colter opisał mi okoliczności. To nie była twoja wina. Ani twojego ojca. Moim zdaniem, on dlatego się rozpił, że całą winę wziął na siebie, choć nie miał po temu żadnych podstaw.

Skinęła głową.

- Zastanawialiśmy się potem oboje, co by było, gdyby... Niepotrzebnie, ale w takiej sytuacji trudno przestać mówić o tym, co boli.

- Nie wolno zadręczać się tym, co należy już do przeszłości - stwierdził Leo.

- Wiele rzeczy nie wolno - mruknęła.

- Inne sprawy się teraz liczą - powiedział Leo. - Po pierwsze, kuracja odwykowa twojego ojca. Po drugie, co już się stało - wyrwałaś się z codzienności. Widzę, jak przez ten tydzień się zmieniałaś. Zupełnie inna z siebie dziewczyna...

- Chyba tak. Nigdy dotąd nie mieszkałam na ranchu. Podoba mi się tu. Tu panuje zupełnie inny rytm życia.

- Kiedy całkiem wydobrzejesz, postaramy się, żebyś tutaj znalazła dla siebie jakąś pracę.

- Chcesz się mnie pozbyć ze swojej siedziby? - zapytała ze śmiechem. - A zresztą... nie zamierzam opuszczać Houston. - Nie dodała, że przede wszystkim nie zamierza być tak blisko Reya, który wyraźnie ją lekceważy. - Jestem tu dopiero tydzień.

- Nigdy w życiu - odparł. Krzywiąc się, dotknął ramienia. - Cholerne byczysko - szepnął.

- Dali ci jakieś środki przeciwbólowe?

- Nie. Mam w domu proszki, które zażyję w razie czego. Na razie nie muszę.

- Według statystyki najwięcej wypadków jest na farmach i ranchach.

- Każda praca związana jest z pewnym ryzykiem - powiedział.

Wypiła łyk kawy.

- Wydaje mi się - rzekła - że działałam na nerwy twemu bratu. Wolałby nie widzieć mnie tutaj.

- Znam jego podejście do kobiet, ale mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie.

- Staram się. Może niedługo humor mu się poprawi.

- Oby... On nie może się pozbierać po tych przeżyciach.

- Bardzo ją kochał?

- Jego zdaniem, bardzo - rzekł Leo z westchnieniem. - Ale według mnie bardziej ucierpiała jego duma niż serce. - Umilkł na chwilę. - Nie miałem wyjścia. Specjalnie zaaranżowałem tę sytuację, żeby przekonał się, z kim naprawdę ma do czynienia. I to był

błąd. Fatalny! Nigdy mi tego nie wybaczył. A teraz, ilekroć zwracam uwagę na jakąś kobietę, usiłuje mi ją odbić...

Głos mu się załamał i Meredith spojrzała w inną stronę.

- Miałam okazję się o tym przekonać - rzekła.

- Nie, nie chodzi o ciebie. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Wiem, mną się nie interesuje. I możesz być spokojny, z mojej strony też nic mu nie grozi. Stałam za drzwiami i słyszałam, co mówił do ciebie. Nie podsłuchiwałam, ale mówił podniesionym tonem, nie sposób było nie słyszeć. Musiałabym być ostatnią idiotką, żeby w kimś takim się zakochać.

Leo dostrzegł smutek w jej oczach.

- Jak mogłem do tego dopuścić? - rzekł z poczuciem winy.

- Dobrze się stało. Wiem przynajmniej, że nie można traktować go poważnie. A poza tym nie przyjechałam tu, by szukać męża.

- Rey to nie materiał na męża. Kocham go, ale muszę to stwierdzić. Biedna będzie ta, która straci dla niego głowę. - Spojrzał na Meredith uważnie. - Nie daj się oczarować.

- To mi nie grozi - oświadczyła. - Nawet gdybym miała u niego szanse.

Wypił do końca kawę i wstał.

- Przebiorę się i wrócę do roboty. Dzięki za pomoc.

Meredith zamierzała udać się do kurnika, by pozbiierać jajka. Nie ma prostszego zajęcia - sięga się do kurzych gniazd i wyciąga jajka, jeszcze ciepłe.

Ale stało się inaczej. Zatrzymała się najpierw pośrodku kurnika, by oczy przywykły do panującego tam mroku, po czym ruszyła w stronę kurzych gniazd. I wtedy wzrok jej padł na coś długiego, dropatego, o błyszczącym języku.

Meredith, dziewczyna z miasta, wrzasnęła, rzuciła koszyk w stronę gada i wybiegła z kurnika.

Annie porzuciła pranie i wybiegła przed dom, żeby zobaczyć, co spowodowało taki tumult.

- Tam jest wielki... czarno - biały wąż! - krzyknęła Meredith, która cała się trzęsła ze strachu.

- Przy jajkach, jak się domyślam - powiedziała Annie i wytarła ręce w fartuch. - Zaraz wezmę kij i załatwię sprawę.

- Sama nie możesz tam iść. To zwierzę ma chyba z półtora metra!

- To nie jest grzechotnik - rzekła Annie. - I nie zamierzam go zabić. Wezmę go na ten kij i zaniosę do stodoły. To pożyteczne stworzenie, które zjada szczury i żmije jadowite. Ale w naszej okolicy sporo jest grzechotników, te są groźne i musisz na nie uważać.

I właśnie wtedy zatrzymała się tuż obok ciężarówka.

- Co się tu dzieje? - zapytał Rey, wyładowując skrzynki z przyczepy.

- Wąż jest w kurniku! - wykrzyknęła Meredith.

- Tak? - zapytał obojętnie.

- Przenieś go do stodoły - powiedziała Annie.

- Ja się nim zajmę - rzekł Rey. - Boisz się węży? - zapytał kpiąco Meredith.

- Pierwszy raz w życiu widziałam takiego wielkiego!

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - stwierdził aluzyjnie, zatrzymując wzrok na jej biuście.

Gdyby spojrzenia podpałały, to spłonąłby na pył - Tymczasem, zdrowy i cały, skierował swe kroki do kurnika.

Wyszedł po paru minutach - z węzem owiniętym wokół obydwu jego ramion.

- Spójrz, nasz znajomy! - wykrzyknął do Annie. - Widzisz tę szramę po ranie, gdy dostał się do kombajnu?

- Faktycznie - przyznała Annie. - Cześć, stary. - I pogłaskała go pod obrzydliwym pyskiem.

- Jak możesz go dotykać? - jęknęła Meredith. - Taką paskudę!

- Trzeba jej chyba powiedzieć - zaczęła Annie, spoglądając na Reya pytająco - że on zwykł mieszkać w naszym domu.

- Nie bój się - rzekł Rey, widząc bladą jak płótno twarz Meredith. - Zaniosę go na strych.

- Nie bój się, dziewczyno. Jeśli go nie sprowokujesz, nic ci złego nie zrobi. Jest naprawdę łagodny - uspokajała ją Annie. - I dokończ zbierać jajka.

Meredith westchnęła głęboko, przesłała Annie rozpaczliwe spojrzenie i wkroczyła do kurnika. Skóra jej cierpła, gdy zbierała jajka, szczególnie te, po których ślizgał się wąż. Zawsze już kurnik budził w niej będnie lęk. To śmieszne, mówiła sobie w duchu, patrzyła przecież na rannych od pocisków ludzi, na ofiary wypadków, na różne straszne rzeczy, a zwykły wąż budzi w niej takie przerażenie. Weź się w garść, dziewczyno!

Wyszła na światło słoneczne z koszem pełnym jaj. Starła się przybrać na twarz spokojny, łagodny wyraz.

Rey czekał na nią oparty o błotnik ciężarówki, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, z kapeluszem nasuniętym na oczy.

Przez dłuższą chwilę nie miała odwagi spojrzeć na niego. A gdy uniosła wzrok, stwierdziła, że on wygląda bardzo atrakcyjnie.

- Przemogłaś się, wskoczyłaś ponownie na grzbiet konia, który cię poniósł - rzekł. - Jestem z ciebie dumny.

- Ucieczka niczego nie załatwia - powiedziała.

- A od czego ty uciekasz?

Obiema dłońmi przygarnęła koszyk do piersi.

- Nie musisz się tym interesować - odrzekła z godnością.

- Muszę. Pracujesz u mnie.

- Niedługo przestanę. Tydzień, dwa i wracam do domu.

- Czyżby? - Odszedł od samochodu i stanął tuż przed nią, wysoki, kuszący. Dotknął delikatnie palcami jej ust. - Te blizny są jeszcze całkiem świeże. Wzięłaś miesiąc urlopu, o ile się nie mylę?

- Tak, ale nie muszę tu siedzieć przez cały czas.

- Powinnaś. - Pochylił się i zbliżył usta do jej ust. Wstrzymała oddech. A on uśmiechnął się beczelnie. - Wszystko może się zdarzyć. Mogłabyś, na przykład, polubić życie na wsi.

- Nie cierpię węży.

- To był nietypowy egzemplarz. Na ogół jego bracia śpią od listopada, z tym że teraz jest wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Wiosną należy uważać. Ale nie martw się. Obronię cię przed wężami. Przed innymi zagrożeniami również.

- A kto obroni mnie przed tobą?

- Czyżby ci taka obrona była potrzebna? Jesteś przecież pełnoletnia, i to nie od dziś.

- Prowadziłam dość samotniczy żywot - rzekła cicho.

- Może więc najwyższy już czas, żebyś wyszła z tego swojego kokona.

- Nie mam zapotrzebowania na romans.

- Ani ja. - Uśmiechnął się. - Ale jeśli byś się o to postarała, mógłbym zmienić zdanie.

- Nie zamierzam. - Popatrzyła na niego chłodno. - I nie wyobrażaj sobie, że „pożeram cię wzrokiem” - dodała znacząco.

Nietrudno było się domyślić, że podsłuchiwała ich rozmowę. Zrobiło mu się głupio, tym bardziej, że to, co powiedział bratu, było nieprawdą. Nie chciał, by Leo wiedział, jak bardzo on, Rey, jest zauroczony tą dziewczyną.

- Ci, co podsłuchują, dowiadują się zawsze o sobie czegoś przykrego - oświadczył.

- To prawda. A teraz przepraszam cię, muszę już iść. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Wcale tak nie myślałem - wyszeptał z ustami przy jej wargach. - Ta twoja niewinność doprowadza mnie do szaleństwa! Nie mogę spać po nocach...

- Przestań!

- Niby dlaczego?

- Jeśli sądzisz... że ja... że w ogóle... - Nie stać jej było na żadną sensowną wypowiedź. Tupnęła nogą, odwróciła się i pobiegła do kuchni, omal nie wyrywając drzwi z zawiasów. A towarzyszył jej w tej ucieczce drwiący śmiech Reya.

Jeżeli Meredith sądziła, że Rey przeprosi ją za te słowa, to była w błędzie. Obserwował ją tylko spod oka, gdy wykonywała swoje codzienne gospodarskie czynności. Nie naprzykrzał się jej, nie narzuczał. Po prostu patrzył. Tak ją to jednak peszyło, że potykała się co krok. Te jego czarne oczy sprawiały, że serce waliło jej jak młotem.

- Dlaczego nie chcesz zająć się czymś innym niż prowadzenie domu? - zapytał któregoś wieczoru, gdy Leo, jak zwykle, spóźnił się na kolację.

- Bo prowadzenie domu jest znacznie mniej stresujące - odparła, nie patrząc na niego.

- Marnie za to płacą - ciągnął. - A poza tym w niektórych domach mogłabyś mieć problemy z gospodarzem, który chciałby się z tobą zabawić.

- Ty też masz do mnie takie podejście - ni to zapytała, ni to stwierdziła.

Spojrzał na nią wilkiem.

- Nie, ja nie. Lecz inni mogą cię tak traktować. To niezbyt bezpieczne zajęcie. W każdym innym zawodzie prawo chroni pracownika.

- Żeby mieć zawód, trzeba skończyć odpowiednią szkołę. A ja jestem za stara na naukę.

- Na to nigdy nie jest za późno. Wzruszyła ramionami.

- Ale ja lubię gotować i sprzątać.

- Świetnie sobie radzisz z udzielaniem pierwszej pomocy. Zachowałeś spokój i godne podziwu opanowanie.

- To zawsze w życiu się przydaje - rzekła krótko.

- Lubisz być tajemnicza, prawda? - zapytał z nutą irytacji.

- Bo to bywa całkiem zabawne.

- Jakież to ciemne sprawki ukrywasz przede mną, Meredith? - Tym razem głos jego brzmiał spokojnie.

- Nic, co mogłoby wzbudzić twój niepokój, nawet gdybyś wpadł na trop którejś z tych ciemnych sprawek. Macie co rano świeże placki i to się liczy.

- Owszem, mamy. I jesteś w ogóle świetną kucharką. Tylko że ja nie lubię tajemnic.

Spojrzała na niego przez ramię.

- To już gorzej.

Usiadł przy stole i patrzył na nią w milczeniu.

- Twoje nazwisko jest mi skądś znane - odezwał się po chwili marszcząc brwi. - Tylko jakoś nie mogę z nikim go sobie skojarzyć.

Niedobrze, pomyślała. Nie chciała wracać do przeszłości, jeszcze nie teraz, kiedy wspomnienia wciąż są żywe.

- Tak bywa - odparła zdawkowo.

- Może któregoś dnia wreszcie sobie przypomnę - rzekł wzruszając ramionami.

Na szczęście wszedł Leo i przerwał tok jego myśli. Meredith podała kolację i zasiadła do niej wraz z braćmi.

Nazajutrz rano Rey pojawił się w kuchni ze strzelbą w futerale. Zanim usiadł do stołu, oparł broń o szafkę.

- Wybierasz się na polowanie? - zapytała Meredith. Popatrzył na nią spod oka.

- Strzelam do rzutków. Ćwiczę cały rok.

- Na mistrzostwach w San Antonio zdobył dwa medale - rzekł z dumą Leo. - Strzelec klasy „A”.

- Jakiej używasz strzelby? - zapytała odruchowo. W jego oczach pojawił się cień zainteresowania.

- Różnej. Ale co ty wiesz o strzelbach?

- Brat uczył mnie strzelać, ale dopiero po skończeniu... hm... szkoły średniej potrafiłam... - jąkała się, improwizując tę opowiastkę. Nie mogła mu powiedzieć, że po college'u przestała się już tym zajmować. Za dużo by wiedział.

- Więc umiesz strzelać - rzekł z wyraźną kpiną w głosie. - Mam strzelbę i mogę ci ją dać.

- A jaką masz w tym futerale?

- Dwunastkę.

- Spróbowałabym tej, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Życzysz sobie jeszcze trochę dżemu jabłkowego? - zapytała, zmieniając temat.

- Chętnie - powiedział i posmarował placek dżemem. - Dołączysz do nas, Leo? - zapytał brata.

- Tym razem chyba się wybiorę - odparł Leo, starając się powstrzymać uśmiech. Wiedział, że Mike Johns był doskonałym strzelcem, wielokrotnie nagradzanym. Jeżeli przekazał siostrze swoją wiedzę, to Meredith pokaże klasę i Rey oniemieje ze zdziwienia. Nie, Leo nie odmówi sobie tej przyjemności.

- Razem zawsze weselej - powiedział Rey.

- Tak też uważam - zgodził się Leo, sznurując usta.

Meredith słowem się nie odezwała. Skończyła posiłek, poczekała, aż bracia skończą jeść, i wstawiła naczynia do zmywarki.

W swoim pokoju włożyła dżinsy, buty, długą flanelową bluzę, na nią ocieplaną kamizelkę i gotowa już była wysłuchać cennych wskazówek Reya dotyczących obchodzenia się z bronią.

Jak na listopadowe piątkowe popołudnie w klubie strzeleckim panował duży ruch. Dzień był chłodny, lekki mróz szczypał w policzki. Rey i Leo spotkali się z dwoma starymi znajomymi, też amatorami strzelania, których przedstawili Meredith.

- To jest Jack, a to Billy Joe - powiedział Rey. Ten pierwszy był wysoki i szczupły, drugi zaś, gruby i niski, z trudem chwycił oddech. - Stanowimy część drużyny naszego klubu - dodał.

- Z tym że Rey zgarnia medale - rzekł Billy Joe z widocznym wysiłkiem. - Ratuje honor naszego klubu. A teraz zabieramy się do dzieła - powiedział. - Idę do furgonetki po broń.

Meredith spojrzała na niego z niepokojem. Policzki miał nienaturalnie czerwone. Był spocony. Znała te objawy.

- Ktoś powinien z nim pójść - powiedziała nagle, przerywając pogawędkę Jacka z Reym.

- Słucham? - zapytał Jack.

I w tej właśnie chwili Billy Joe zatrzymał się, po czym upadł na ziemię przed drzwiami swojej furgonetki.

- Dajcie mi komórkę! - krzyknęła Meredith, biegnąc ku leżącemu.

Kłęczała już przy Billym, gdy Leo podał jej telefon.

- Przykryjcie go czymś! - poleciła, wybierając numer. Z komórką przy uchu rozpięła mu koszulę aż po przepoń. - Znajdźcie jego portfel - ciągnęła - i odczytajcie z prawa jazdy jego wiek i wagę.

Leo tak zrobił, podczas gdy Rey i Jack stali w milczeniu obok leżącego kolegi.

- Chcę mówić z lekarzem dyżurnym - powiedziała po uzyskaniu połączenia. - Meredith Johns z tej strony. Mam pacjenta, lat sześćdziesiąt, który nagle zasłabł i upadł. Objawy świadczą o możliwości zawału. Słaby puls - mówiła ze wzrokiem utkwionym w zegarku, trzymając chorego za przegub dłoni. - Czterdzieści uderzeń na minutę, płytki oddech, barwa twarzy szara, poci się. Potrzebna karetka, rozpoczynam reanimację.

Po dłuższej chwili rozległ się w słuchawce męski głos. Meredith przekazała mu dalsze dane i oddała telefon Leo. Sama zaś ze skupieniem to uciskała klatkę piersiową pacjenta, to nachylała się i metodą usta - usta próbowała przywołać oddech chorego.

Rey obserwował ją oniemiały ze zdumienia, zarówno jej profesjonalnym zachowaniem wobec pacjenta, jak i świadczącym o fachowości informacjom przekazywanym lekarzowi dyżurnemu.

W ciągu pięciu minut karetka była już na miejscu. Pielęgniarka wysłuchiwała relacji Meredith, po czym połączyła się z tym samym lekarzem, z którym Meredith rozmawiała uprzednio.

- Lekarz mówi, że świetnie się pani spisała - rzekła, gdy umieszczały w karetce Billy'ego. - Zna się pani na rzeczy.

- Skończyłaś pewno z wyróżnieniem kurs udzielania pierwszej pomocy - skomentował Rey.

Miała to być pochwała, która jednak doprowadziła Meredith do wściekłości. Obrzuciła Reya gniewnym spojrzeniem.

- Owszem, skończyłam - rzekła z naciskiem - ale college. Jestem dyplomowaną pielęgniarką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rey gapił się na swoją kucharkę z takim wyrazem Uwarzy, jakby nagle duch mu się ukazał. Jego wyobrażenia o tej dziewczynie rozpadły się w proch i pył. Stała się raptem kimś, kogo nie znał. Była wysoko wykwalifikowaną pielęgniarką, nie żadną domorosłą kucharką, i na pewno nie miała nic wspólnego z zawodem, o jaki ją podejrzewał.

- Widzę, że jesteś zaskoczony - powiedziała. - Mam nadzieję, że on się z tego wykaraska - zwróciła się do pielęgniarki.

- Oddech ma już w normie, puls mu się wyrównuje, wraca świadomość.

Karetka ruszyła.

- Dlaczego nie włączyli sygnału? - zapytał Rey.

- Nie ma potrzeby - odparła Meredith. - Syrenę włącza się wtedy, gdy pacjentowi trzeba natychmiast udzielić pomocy.

- Uratowała pani życie Billy'emu - powiedział Jack, ściskając mocno jej dłoń. - To mój najlepszy przyjaciel. Dziękuję pani z całego serca.

- Taki mam zawód - odrzekła. - Tylko nie gońcie karetki - ostrzegła, podchodząc do furgonetki Billa.

- Będę jechał ostrożnie - obiecał Jack.

- Ho, ho - powiedział Leo. - Co za energia kryje się pod tą maską chłodu!

- Taki mam zawód - powtórzyła. Skierowała wzrok na Reya, w którego oczach dostrzegła złość, bo nie ulegało wątpliwości, że czuł się zrobiony w konia. - Wiem, co myślisz - rzekła - ale przecież kłamstwa nie możesz mi zarzucić. Nigdy nie pytałeś, gdzie pracuję i co robię. Byłeś pewien, że wszystko o mnie wiesz - dodała z ironią.

Milczał. Przyglądał się jej chwilę, po czym odwrócił wzrok.

- Odeszła mi ochota na strzelanie - rzekł. - Pojadę do szpitala, dowiem się, co z Billym.

- Jadę z tobą - powiedział Leo. - A ty, Meredith?

- Też się z wami zabiorę. Porozmawiam z tym lekarzem. Sprawiał miłe wrażenie.

- Uważaj - mruknął Rey - bo może on też ma swoje sekrety. A tacy ludzie są niebezpieczni.

Leo, otwierając przed Meredith drugie drzwi ciężarówki, mrugnął do niej figlarnie. I usiadł obok Reya.

Ów lekarz, Micah Steele, był wysokim, przystojnym mężczyzną. Meredith wyobraziła go sobie z dubeltówką na ramieniu. Ale i w białym fartuchu, ze stetoskopem na piersi, prezentował się całkiem nieźle.

- Słyszałem, że Callie jest już w szpitalu - powiedział Leo.

- Tak, lada chwila urodzi. Nie widzisz, że cały jestem w nerwach?

- Callie to miła dziewczyna - rzekł Rey.

Micah spojrzał nań groźnie.

- Miałem szczęście - powiedział - że nie zjawiłeś się w biurze jej szefa, Kampa, gdy była jeszcze panną.

Rey skrzywił się.

Kamp podobno jada skorpiony na śniadanie. Wolę prawników, którzy lubią mniej wyszukane potrawy.

- Doszły mnie słuchy, że tutejsza palestra ostrzega przed tobą wszystkich członków stowarzyszenia.

- Nie uderzyłem żadnego lokalnego prawnika - rzekł Rey wyraźnie zakłopotany. - Mathersona z Victorii owszem - mruknął. - Nawiasem mówiąc, ledwo go tknąłem. Miał szczęście, że byłem trochę... zawiany.

Gdyby nie to, nieźle by oberwał.

Meredith słuchała tej rozmowy z szeroko rozwartymi oczami, ale obaj panowie, pochłonięci tematem, nie zwracali na nią uwagi.

- Matherson reprezentował faceta, który oskarżył nas o pobicie - wyjaśnił jej Leo. - Cag uderzył go, i to nie raz, kiedy tamten się upił i atakował Tess, obecną żonę Caga. Ale drań przysięgał, że to nieprawda, że wcale jej nie atakował, a my zmyślamy, bo chodzi nam tylko o pretekst, by na niego napaść. Przekonał ławę przysięgłych, że należy mu się odszkodowanie za krzywdę, jaką poniósł. Niewielka to była kwota, ale chodziło o zasadę - podkreślił Leo - i Reya to rozwścieczyło. Po ładnych paru kolejkach w barze podszedł do Mathersona, który siedząc przy stoliku, pił sobie spokojnie piwo, i oskarżył go o matactwa w prowadzeniu postępowania. Efekt był taki, że wychodzące na parking okno o witrażowych szybach przestało istnieć.

- Jak to „przestało istnieć”? - zapytała przerażona Meredith.

- No bo Matherson z ogromną pomocą Reya wybił w ścianie sporą dziurę, którą oknem trudno by już nazwać - oświadczył Leo.

Micah Steele miał taką minę, jakby resztką sił powstrzymywał się od śmiechu.

- A on - tu wskazał palcem lekarza - musiał z tyłka Mathersona wydłubywać szkiełko po szkiełku. I znowu facet podał nas do sądu.

- Lecz tym razem ława przysięgłych - wtrącił Rey - po wysłuchaniu mistrzowskiej mowy Kempa, w której zilustrował wszystkie nasze krzywdy, zasądziła tylko pokrycie kosztów leczenia tyłka powoda. Właściciel baru nic nie stracił, bo te drogocenne witrażowe szyby były ubezpieczone.

- O ile mi wiadomo - dorzucił lekarz - dwaj ochroniarze wyszli potem na spotkanie Reya i gdyby nie jego przyjazny uśmiech, nie wpuściliby go do środka.

- Od tamtej pory nie nadużywam alkoholu - rzekł Rey. - Umiem już przeciwstawiać się agresji, używając innych metod, nie siły fizycznej.

Lekarz i Leo, przeprosiwszy ich, ruszyli w stronę schodów.

Rey zły był na brata i Micaha za tę gadaninę na jego temat, ale jeszcze większą urazę czuł do Meredith, że tak się przed nim maskowała.

- Nie miałem pojęcia, że ukończyłaś studia - rzekł.

- Dlaczego nie wspomniałaś o tym na początku, gdy przywiozłaś Lea do szpitala? - Mówił te słowa niskim, przytłumionym głosem. - Mogłem, oczywiście, sam wyciągnąć pewne wnioski, ale w końcu to twoja sprawa, nie moja.

- Tak, zgoda, lecz od tego tylko krok do zwierzeń, na przykład: dlaczego ojciec zaczął pić. A dla mnie to wszystko jeszcze jest zbyt świeże... nie mogę przestać o tym myśleć. Pół roku... - Spojrzała w bok. - Niełatwo uciec od złych wspomnień.

Rey ujął jej dłoń, przyciągnął ją ku sobie. Na korytarzu było pusto, dobiegały ich tylko przytłumione dźwięki dzwonek i komunikatów płynących z głośnika, a także stukot tac uprzątniętych po obiedzie.

- Opowiedz mi - poprosił. Uniosła na niego pełne bólu oczy.

- Nie... jeszcze nie - szepnęła. - Może kiedyś, pewnego dnia. Teraz nie mogę.

- Dobrze - rzekł po chwili. - Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie nauczyłaś się strzelać.

- Nauczył mnie mój brat, Mike - odparła z nieukrywaną niechęcią. I pomyślała zaraz, że chętnie położyłaby głowę na jego piersi i wypłakała cały swój ból. Nie miała nikogo, kto podtrzymałby ją na duchu - ani wtedy, gdy to się zdarzyło, ani potem. Ojciec zamknął się w sobie i zaczął pić. Praca była jej jedynym ratunkiem.

Rey, wciąż trzymając ją za rękę, usiłował poskładać w pamięci pewne fakty związane z imieniem jej brata.

- Mike. Mike Johns - powiedział, zmarszczywszy czoło. - Przyjaciel naszego kuzyna Coltera. Leo też go znał. Mike został zabity.

Meredith usiłowała wyrwać rękę z jego dłoni. Zabrakło jej sił. I wtedy Rey przytulił ją mocno do piersi. Nie walczyła już ze łzami, które spływały jej po policzkach. Głaskał ją po głowie, pieszczotliwie, kojąco.

- W Houston był napad na bank... - przywoływał w pamięci znane mu przecież wydarzenia. - Mike był policjantem. Był wtedy w banku razem z waszą matką. To była środa. Miał wolny dzień, ale z pistoletem się nie rozstawał. Trzymał go za paskiem spodni. - Zamilkł na chwilę. Meredith szlochała. I Rey jeszcze mocniej przytulił ją do siebie. - Mike odruchowo wyciągnął broń i wystrzelił, a wtedy jeden z tych bandytów otworzył ogień z tego cholernego małego pistoletu maszynowego. On i twoja matka zginęli na miejscu.

Meredith wpiła się palcami w jego plecy. Trwali tak, objęci, nie zważając na zaciekawione spojrzenia przechodzących obok ludzi.

- Złapano ich obydwu - ciągnął. - W Teksasie nie puszcza się płazem zabójstwa policjanta. Po miesiącu w trybie pilnym oskarżono ich i skazano. Ty i twój ojciec składaliście zeznania.

Micah i Leo zmierzali właśnie ku nim i zobaczyli, że coś złego dzieje się z Meredith. Gdyby nie silne ramię Reya, osunęłyby się na podłogę.

Niewiele zapamiętała z tego, co się stało, tyle tylko, że znalazła się w gabinecie zabiegowym. Gdy oprzytomniała, znów zaczęła szlochać, i wtedy zrobiono jej zastrzyk ze środkiem uspokajającym. Obudziła się już na ranczu, w swoim pokoju nad garażem.

Rey siedział przy jej łóżku, w tym samym ubraniu, jakie miał na sobie, gdy szli na strzelnicę. Ona też była tak samo ubrana jak przed wyjściem, tyle że przykryta była narzutą, a jej buty stały obok łóżka.

- Która godzina? - zapytała niezbyt przytomnym głosem.

- Od momentu, gdy zemdlałaś, minęło pięć godzin - odparł z uśmiechem. - Micah uznał, że sen dobrze ci robi. Ty, zdaje się, niewiele sypiasz? - zapytał ku jej zdziwieniu.

Westchnęła i odgarnęła włosy z czoła.

- Gdy zasypiam, męczą mnie koszmary... Widzę ich leżących we krwi na podłodze, tak jak na tych policyjnych fotografiach, i budzę się zrana potem. - Zamknęła oczy i zamyśliła się.

- Złapali tych bandytów - przypomniał jej Rey. - Ten, co zabił, dostał dożywocie bez szansy na wcześniejsze zwolnienie.

- Wiem, ale to nie wróci życia moim bliskim. A czy ci wiadomo, dlaczego oni to zrobili? Założyli się. Przez głupi zakład dwoje niewinnych ludzi straciło życie.

- Oni własne życie też zmarnowali. I życie swoich rodzin.

Popatrzyła na niego, jak gdyby jego słowa do niej nie dotarły.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy - zaczął ciepłym, łagodnym tonem - że bandyci też mają rodziny? Większość z nich ma kochających, uczciwych rodziców. Świadomość, że twoje dziecko zabiło kogoś, musi być nie do zniesienia.

- Nie zastanawiałam się nad tym - przyznała.

- Rodzice na ogół dobrze wychowują swoje dzieci - mówił dalej. - Lecz, jak wiadomo, z dziećmi różnie bywa. Nad niektórymi trudno zapanować, inne mają słabo rozwinięty odruch samokontroli, jeszcze inne złe skłonności i prędzej czy później lądują w więzieniu.

- Nigdy nie podejrzewałam cię o taką wrażliwość - rzekła i aż się speszyła tym dość obcesowym stwierdzeniem.

- Ja, niewrażliwy? - zapytał z urazą. - Zbieram robaki z szosy, żeby nie zginęły pod kołami mego wozu, a ty odmawiasz mi wrażliwości?

Roześmiała się.

- No, widać z tego, że już lepiej się czujesz. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Sporo ostatnio przeżyłaś. Nic dziwnego, że się załamałaś.

- Miałaś szczęście.

- Ja? Dlaczego?

- Bo gdybyśmy zaczęli strzelać, ty byś się załamał - powiedziała z uśmiechem. - W klubie strzelniczym Mike'a nazywali mnie „Orle Oko”.

- „Orle Oko”? - powtórzył z powątpiewaniem. - No, przekonamy się na strzelnicy.

Meredith zdała sobie nagle sprawę, że ten mężczyzna stał jej się bliski, prawie niezbędny. I z lękiem pomyślała o swoim rychłym powrocie do Houston.

Dotknął jej policzka. Siniaki miały jeszcze czerwonożółtą barwę, ale już znacznie mniej rzucały się w oczy. Rey zachmurzył się.

- Pijany czy trzeźwy, nic nie tłumaczy faceta, który podnosi rękę na kobietę.

- Zdarza się niektórym.

- Kobieta jest kolebką życia. Jak można połamać kolebkę?

- Masz oryginalne porównania.

- W naszych żyłach płynie hiszpańska krew. Jeden z moich przodków przywędrował do Teksasu i za zasługi dla korony otrzymał duży szmat ziemi będącej pod hiszpańskim zarządem. - Zauważył zdziwienie na jej twarzy. - Znasz legendę o Cydzie?

- Tak! - - wykrzyknęła. - To był wielki hiszpański bohater.

- Naszym przodkiem nie był jednak on, lecz człowiek, który walczył bohatersko o te ziemie z wrogimi mu sąsiadami i póki żył, sprawował nad nimi władzę. Dzięki niemu te ziemie, a więc i nasze ranczo, są po dziś dzień w posiadaniu naszej rodziny.

- Oryginalne nadanie? - zapytała. Rey skinął głową.

- Obszar jest tej wielkości, jakiej był setki lat temu. Zauważyłaś w jadalni stare srebra stołowe?

- Tak.

- Przyjechały z Madrytu.

- Pamiątka rodzinna - wyszeptała. Spojrzał w bok. Milczał dłuższą chwilę.

- Opowiedz mi szczegółowo o tym, co się wtedy wydarzyło - powiedział, odbiegając od tematu. - Przyniesie ci to ulgę, zobaczysz.

Spojrzała na dużą silną dłoń obejmującą jej ramię. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Tak, postanowiła, wyrzuci to z siebie. On ją na pewno zrozumie.

- Ojciec poprosił mnie, bym zawiozła mamę do banku. Sam nie miał czasu, a sprawa nie cierpiała zwłoki. Ja tego dnia pracowałam w klinice i nie mogłam się zwolnić, a moja koleżanka, która chętnie by mnie zastąpiła, miała chore dziecko. W tej sytuacji Mike pojechał z mamą. I dlatego oboje z ojcem ponosimy winę za to, co się stało.

- Bo wy żyjecie, a oni nie, tak?

- Nie! Nie dlatego!

- Mam rację, Meredith. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Tak samo czują się ludzie, którzy przeżyli katastrofę lotniczą, samochodową, którzy ocalili po zatonięciu statku. To normalna reakcja człowieka, który uratował życie, gdy inni je stracili. A kiedy wśród tych innych jest rodzina czy przyjaciele, poczucie winy jest jeszcze silniejsze. Często rozmawiamy na te tematy z Janie Brewster.

- Dlaczego właśnie z nią?

- Skończyła psychologię w tutejszym college'u.

- Jak ona wygląda?

- Sięga mi do ramienia, ma jasne włosy i zielone oczy.

- Mógłbyś się z nią ożenić.

- Ja nie zamierzam się żenić. Kocham wolność.

- Tak jak i ja. Nie po to się uczyłam, żeby siedzieć w domu. Ale lubię gotować. Jeszcze za życia mamy często wracałam z pracy i gotowałam, bo ona tego nie znosiła.

- Wiem sporo o zawodzie, jaki uprawiasz. Jesteś drugą osobą po lekarzu. Nie wolno ci tylko na własną rękę wypisywać recept.

- Zgadza się.

Przyglądał się jej szczupłej sylwetce, której urodę podkreślał jeszcze kostium, jaki włożyła na tę okazję.

- I przez te wszystkie lata tylko nauka i egzaminy, i kariera zawodowa... A mężczyźni? - zapytał, nie odrywając od niej wzroku.

- Umawiałam się... Ale nie w głowie mi było wiązanie się z kimkolwiek. Ojciec wychodził ze skóry, żeby sfinansować moje studia. Nawet Mike... przykładał się do tego. - Westchnęła cicho i zacisnęła dłoń. - I co, miałam chodzić na imprezy i pić wino jak inni studenci?

- Wśród studentów nie panują przecież takie obyczaje.

- Bardzo byś się zdziwił - powiedziała ze śmiechem. - Ale ja nie mieszkałam w kampusie. Dojeżdżałam na wykłady. A to przyjęcie, z którego wracałam, gdy ci bandyci napadli na Lea, wydawała moja koleżanka z college'u, która odbywa u nas praktykę. Nie cieszy się dobrą opinią. Powinam była przewidzieć, że nie będzie tam za ciekawie, lecz byłam w dołku i uległam jej namowom. To był błąd.

- Ale szczęście dla mojego brata - podkreślił Rey. - Mogli go przecież zabić. - Zamilkł i po chwili mówił dalej: - Wspomniałaś, że biegłaś za nimi?

Skinęła głową.

- Tak, Mike nauczył mnie „taktyki szokowej”. Bałam się, że nie odniesie skutku, ale nie miałam przecież broni i mogłam jedynie tę taktykę zastosować. I sprawdziła się w działaniu.

- Podziwiam twoją odwagę. - Rey pokręcił głową w skupieniu. - I jestem ci bardzo wdzięczny. Ale mogłaś podzielić los mego brata.

- Ale nie podzieliłam. - Zadrzała, jakby nagle zrobiło jej się zimno. - Moim zdaniem, istnieje ścisły związek między poszczególnymi wydarzeniami - rzekła w zamyśleniu. - Nie wierzę w chaos. Każda komórka ciała ludzkiego to prawdziwy cud, dlatego nie wierzę w przypadkowość istnienia człowieka. A skoro nie jest przypadkowe, to musi mieć sens. - Wzruszyła ramionami. - Dlatego nie podaję w wątpliwość istnienia Boga.

Oboje milczeli dłuższą chwilę.

Nagle Rey pochylił się. Całował jej policzki, szyję. Dotknęła dłońmi jego piersi. Odsunęła się. Nie stawiał oporu. Była tym kompletnie zaskoczona. Nie był ani zaborny, ani agresywny. Na nic nie nalegał, do niczego jej nie zmuszał. Po prostu całował ją tkiwie, z czułością.

- Budujesz mur między nami - szepnął. - Niepotrzebnie. Jestem zbyt dobrym hodowcą bydła, by bez zezwolenia naruszać czyjeś terytorium.

Nie za bardzo docierały do niej jego słowa. Poddawała się dotknięciom jego ust, przytulała dłonie do jego muskularnej piersi. Czuła wyraźnie głośne bicie jego serca.

- Czego chcesz? - zapytał z ustami przy jej ustach.

- Pocałuj mnie...

- Pocałunki są niebezpieczne. Nie wiesz o tym? Uzależniają jak narkotyk.

Całe ciało jej płonęło. Czuła jego dłonie na swoich piersiach, ramionach, brzuchu. Podniecało ją to, prowokowało, chciała czegoś więcej.

- Nie wystarcza ci to? - zapytał.

Ciało jej poddawało się jego pieszczotom, drżała w oczekiwaniu na jeszcze większą rozkosz. Rey wyjął spinki z jej włosów, które opadły falą na ramiona dziewczyny. A ona nic nie widziała, nic nie słyszała, o niczym nie myślała. Chciała tylko, żeby to trwało, trwało bez końca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rey usłyszał odgłos kroków dobiegający z korytarza. Spojrzał na Meredith przymrużonymi oczyma. Wstał i podszedł do okna. Meredith trwała w bezruchu. Serce jej waliło. Przerażona była tym, co się wydarzyło.

Drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanął Leo z tacą. Na tacy - porcelanowa filiżanka ze spodeczkiem, srebrny dzbanek na kawę, cukiernica, miseczka ze śmietanką, serwetka, łyżeczka. Na talerzu - kawałek kurczaka i kanapki z sałatką.

- Pomyślałem, że na pewno jesteś głodna - powiedział z uśmiechem i postawił tacę na stoliku. - Przyszła pani Lewis i poprosiłem ją, by przyrządziła coś smacznego.

- Dziękuję! I podziękuj ode mnie pani Lewis. Rzeczywiście zgłodniałam.

Rey chrząknął głośno, tłumiąc śmiech, a ona szybko chwyciła kanapkę, bojąc się spojrzeć w jego stronę. Leo popatrzył na brata.

- Coś ci dolega? - zapytał.

- Skurcz żołądka - odparł Rey. - To od tych ostrych przypraw.

- Weź tabletkę przeciwko zgadze i popij ją mlekiem - doradził Leo.

- Już mi lepiej. - Rey nabrał powietrza w płuca i rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na Meredith.

- Wszystko będzie dobrze - oznajmiła, nie patrząc na niego. - I dziękuję ci za rozmowę. - Przywołała na usta cień uśmiechu.

A on wciąż na nią patrzył. W jego czarnych oczach zapaliły się iskry. Przyglądał jej się bacznie, jak gdyby coś nagle przykuło jego uwagę. A Meredith siedziała na łóżku, włosy opadały jej na ramiona i uśmiechała się. Jest bardzo ładna, pomyślał. Ma dobre, czułe serce. Zaryzykowała życie dla zupełnie obcego człowieka. Dlaczego dopiero teraz to sobie uświadomił? Dlaczego wtedy w Houston ów oczywisty fakt nie przemówił mu do wyobraźni?

- Leo zawdzięcza ci życie - powiedział. - Jak to możliwe, że naraziłaś własne, by go ratować?

- Przecież zrobiłbyś to samo - odparła.

- Może i tak - zgodził się po chwili wahania. - Prawdopodobnie - dodał.

- No widzisz. Masz wszystkie dane po temu, aby zostać dobrym mężem - zauważyła z uśmiechem. - Jesteś przystojny, bogaty, jeździsz wspaniałym samochodem i jeszcze w dodatku lubisz zwierzęta. Kapitalne zalety!

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Nie mam zamiaru się żenić.

- Nieważne, co sobie teraz myślisz. Każdy kawaler broni się przed małżeństwem. Dojrzejesz do tej decyzji. - Uniosła w górę brwi. - Jeśli ofiarujesz mi pierścienek zaręczynowy, pokażę ci moją kolekcję kapsli od butelek po piwie.

Rey wciąż się w nią wpatrywał.

- Ja chętnie obejrzę twoją kolekcję - powiedział Leo, chichocząc. - I od razu sam zacznę zbierać kapsle!

Rey zmierzył brata groźnym spojrzeniem.

- Zastanawiam się nawet, czy nie poprosić cię o rękę - ciągnął Leo z szelmowską miną.

Meredith roześmiała się.

- Bardzo mi przykro. Rey albo żaden. Moje serce należy do niego. Ale żałuję, że nie do ciebie.

- On ma paskudny charakter - mówił Leo - gorszy od grzechotnika. I nie zdołasz go oswoić. A ja w przeciwieństwie do niego jestem sympatyczny, miły i potulny.

To prawda, myślał Rey, Leo miał zawsze lepszy kontakt z otoczeniem, umiał być czarujący, kiedy mu na tym zależało. A on, Rey, nigdy nie potrafił zabłysnąć w towarzystwie, choć miał wszelkie dane, aby podobać się kobietom. Teraz, wobec Meredith, czuł się szczególnie skrępowany - była taka skromna i aż żenująco naiwna! Nie przywykł do obcowania z kobietami takiego pokroju. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że kiedy patrzył na Meredith, działy się z nim dziwne rzeczy.

Wciąż czuł na ustach smak ciała Meredith. Brak jej było wiedzy w tych sprawach, ale nie brak entuzjazmu. Myślał o przyspieszeniu jej edukacji, i aż w głowie mu się zakręciło, gdy wyobraził sobie, jak wyglądają jej nagie piersi.

Od dawna już nie miał kobiety, tym intensywniej więc działała jego wyobraźnia. Meredith pociągała go od początku, gdy jeszcze nie wiedział, co naprawdę sobą reprezentuje. Teraz zaś, gdy wiedział o niej już znacznie więcej, był wręcz zafascynowany jej osobowością. Była kobietą, o jakiej marzyłby każdy mężczyzna.

Nie oznacza to jednak, że chciałaby go, o nie. Tę sprawę postawiła jasno. Ale te jej głupie żarty o małżeństwie zirytowały go. Jego wolność była dla niego czymś świętym. Nie zamierzał się żenić. W żadnym wypadku!

Lecz rzeczą naturalną było wyobrażenie jej sobie w otoczeniu dzieci. Na przykład, z dzieckiem na rękę krząta się rano przy kuchni. Albo wieczorem z dzieckiem na rękę ogląda z

nim razem telewizję. Gra w berka na dworze z małym chłopczykiem albo z małą dziewczynką zrywa polne kwiaty. Byłaby wspaniałą matką.

Ma trudny, wymagający poświęceń zawód. Każdej chwili może być wezwana do cierpiących i chorych, musi podejmować ważne decyzje, musi angażować się w codzienne życie swoich pacjentów, uczyć ich cieszyć się odzyskanym zdrowiem.

Dlaczego właściwie przychodzą mu do głowy myśli o małżeństwie z tą dziewczyną? Przecież wcale nie chce się z nią żenić. Co do Lea, nie miał tej pewności. Żachnął się w duchu na myśl o zażyłych stosunkach, jakie panują między bratem a Meredith. Leo już wcześniej musiał wiedzieć o jej zawodzie. Rozmawiali widocznie na ten temat przed jej przyjazdem na ranczo, bo wcale nie był zdziwiony, kiedy pokazała, co potrafi, gdy Billy Joe dostał ataku serca.

Jak to się stało, że on, Rey, niczego nie zauważył? Kiedy Leo leżał w szpitalu, dopominał się o jej przybycie. Polubił ją. A może był nią zainteresowany jako kobietą? Interesował się Tessą, nim Cag zakrzętnął się koło niej, ale Tess nie zdawała sobie z tego sprawy. A nawet jeśli tak było, to nie zdradzała się z tym.

Gdy Rey przemierzał podwórze, kierując się w stronę stodoły, tknęło go nagłe przecucie: a jeśli Leo nie żartował podczas tej niby żartobliwej wymiany zdań i naprawdę chce się z nią ożenić? Czy Meredith jest aż tak przygnębiona, zalekniona, czy czuje się aż tak samotna, że zgodzi się porzucić pracę, opuścić ojca, by poślubić jego brata i zamieszkać tutaj, na ranczu? Ojciec pobił ją dotkliwie. Niewykluczone, że będzie się chciała od niego uwolnić, i oto pojawił się Leo, bogaty, przystojny, czarujący i gotów zaopiekować się nią aż po grób?

Aż nim zatrzęśło na tę myśl. Nie wyobrażał sobie mieszkania pod jednym dachem z Meredith jako żoną Lea!

Ale przecież Leo żartował. Lubił żartować. Cała ta rozmowa zasadzała się na żartach. Nie ma tu mowy o jakiejś rywalizacji. Żadnych podstaw po temu nie było. Nakazując sobie spokój, nasunął kapelusz na oczy i ruszył przed siebie energicznym krokiem.

Nie minęło parę dni, a Meredith otrzymała wielki bukiet róż od Billy'ego Joe, który wyszedł już ze szpitala. Wstawiła je do wody, wyjąwszy uprzednio bilecik, który bracia niewątpliwie przeczytali.

- On zechce się z tobą ożenić - rzekł Rey z przekąsem, siadając do stołu. - Od dwudziestu lat jest wdowcem.

Meredith spojrzała na Lea z figlarnym błyskiem w oku.

- Świetnie wygląda na swoje lata, ale niewątpliwie przydałaby mu się pielęgniarka. Ciekawe, czy on umie gotować?

Rey głośno siorbnał.

- I ciekawe, czy on tak głośno pije kawę - zapytała bezlitośnie.

- Chciałem ci w ten sposób zademonstrować - odparował Rey - że mam gdzieś dobre maniery.

- Nie spodziewaj się zatem, że wybierzesz się ze mną do jakiejś eleganckiej restauracji - powiedziała.

- Nie przewiduję z tobą dalszej wyprawy niż do skrzynki pocztowej przy drodze.

Siedział z opuszczoną głową, był zły i ta złość jakby w nim narastała. Nie sposób zrozumieć męską naturę, myślała Meredith. Widziała najłagodniejszych z pozoru mężczyzn, którzy bili żony. Mężczyzna pod wpływem emocji zdolny jest do wszystkiego. Najlepszym przykładem był jej ojciec.

- Powinieneś bardziej dbać o swoje buty. Zawsze są zabłocone - mówiła tonem, jakim prowadzi się niezobowiązującą rozmowę towarzyską. - I nie siorb zupy. Włosy też powinieneś przystrzyc.

- Cholera jasna!

Zerwał się na równe nogi, jego oczy miały błyskawice. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. Meredith nie ruszyła się z miejsca i patrzyła jak urzeczona na jego dłonie, które powolnym ruchem zaciskał w pięści.

- Rey! - powiedział Leo, unosząc się z krzesła.

A dna w tym momencie podeszła do Reya i spojrzała mu prosto w oczy - spokojnie, wyczekująco.

Z trudem, ale udało mu się nad sobą zapanować. Podniósł dumnie głowę i rzekł:

- Wystawiasz mnie na próbę! Chciałaś się przekonać, czy cię uderzę!

- Każda kobieta chce wiedzieć, z jakim mężczyzną ma do czynienia - powiedziała. - I czy w razie czego będzie mogła liczyć na jego pomoc. - Nie patrzyła na Lea, lecz Rey wiedział, co miała na myśli. - Masz charakterek - rzekła z uśmiechem. - Ale do bicia nie jesteś skłonny.

Wciąż jeszcze nozdrza falowały mu gniewem.

- Gdybyś była mężczyzną, nie uszłoby ci to na sucho - powiedział.

- A skoro nie jestem mężczyzną, to co? - zapytała. Milczał, patrzył tylko w jej szare oczy, pełne blasku.

Gdy był blisko niej, ogarniało go dziwne uczucie. Zwalczał je w sobie. A zaczęło się to wówczas, gdy wniósł ją do jej pokoju nad garażem. Jak mu było dobrze, gdy trzymał ją w ramionach! Dokuczała mu, kąpała się z niego, a on pozwalał jej na to. Żadna inna kobieta nie

odważyłaby się postępować wobec niego w taki sposób. Podobnie jak jego starsi bracia za ich kawalerskich czasów był na ogół milczący, mało komunikatywny. Zrażał tym do siebie większość kobiet.

Lecz nie Meredith. Ona nawet nie zlekła się jego gniewu. I oto on stał się jak gdyby innym człowiekiem. Jak to możliwe? Nie potrafił sam sobie tego wyjaśnić.

Było mu z nią dobrze nawet wtedy, gdy wyprowadzała go z równowagi. Tak, wyobrażał sobie czasem, że do późna oglądają razem telewizję.

Przeraził się. Usiadł, nie patrząc na nią i zaczął smarować placki masłem i dżemem.

- Nie zjedz wszystkich - upomniał go Leo.

- Zjadam tylko swoją rację - rzekł. - Ona - dodał i wskazał palcem Meredith - usmażyła dziś tylko osiem placków. Jeden dla niej, cztery dla mnie, trzy dla ciebie.

- Dlaczego aż cztery dla ciebie? - zapytał Leo.

- Bo oświadczyła mi się - odparł Rey.

- To nie były żadne oświadczyzny - rzekła Meredith, obrzucając go wyniosłym spojrzeniem. - Powiedziałam tylko, że jest kandydatem na męża, co nie oznacza, że mojego. - Chrząknęła. - Chciałam się przekonać, jak zareagujesz.

Rey uśmiechnął się.

- To brzmi całkiem interesująco - oznajmił.

Wcale tak nie myślał, tak mu się tylko powiedziało. Meredith nie powinna wyciągać z tego żadnych wniosków. A jednak zaczerwieniła się.

Nie uszło to jego uwagi. Co za iście diabelską grę oboje prowadzą? Lecz on w tej grze będzie górą.

Ona zawsze czuła się nieswojo pod jego spojrzeniem. Jadła pieczeń, nie unosząc wzroku znad talerza. - Lubię świeże owoce - powiedział Rey. Nadziewał na widelec winogrona i powoli je rozgryzał. - Są bardzo zdrowe - odrzekła.

- Dbasz o to, byśmy się prawidłowo odżywiali wtrącił Leo. - O ile wiem, zapoznajesz swoich pacjentów z zasadami diety.

- W pewnym sensie. Doradzam im, jak zmienić złe nawyki żywieniowe, szczególnie wtedy, gdy ich zdrowie tego wymaga - wyjaśniła. Rey spoglądał na nią spod przymrużonych powiek, z lekkim uśmiechem. Nie cierpiała tego ironicznego uśmiechu! - Przyniosę deser. - Tak szybko zerwała się z krzesła, że o mało się nie przewróciła.

- Krzesło wyraźnie ci przeszkadza - powiedział zartobliwie Rey.

- To ty mi przeszkadzasz! - rzekła z gniewem.

- Ja? - Uniósł brwi ze zdziwieniem. - A cóż ja ci takiego zrobiłem?

Wyobraziła sobie, że wali go po głowie największą patelnią w kuchni, i sprawiło jej to niemałą przyjemność.

Wyjęła z szafy składniki, jakie doda do puddingu. Ubita śmietana stała już w lodówce. Ozdobi nią każdą porcję. Rey skończy w tym czasie jeść owoce w sposób, jaki w najwyższym stopniu ją drażnił.

Pod jej nieobecność obaj bracia rozmawiali o sprawach gospodarczych, co mianowicie należy zrobić w tym miesiącu, przed Świętem Dziękczynienia, i w następnym. Przeszli niebawem do innego tematu - obiadu w Święto Dziękczynienia.

- Zostaniesz u nas na święta, prawda? - zapytał Rey Meredith.

- Taki mam zamiar - odrzekła, bo zaplanowała już sobie specjalne świąteczne dania oraz niskokaloryczny deser. - Chyba że chcecie wyjechać - dodała szybko.

- Cała nasza rodzina spotyka się na przyjęciu Bożonarodzeniowym. Święto Dziękczynienia każdy spędza ze swoimi żonami i dziećmi. Pani Lewis też urządza je dla swoich dzieci, które przyjeżdżają do niej. My zazwyczaj jemy to, co zostaje z ich stołu.

- W tym roku - oświadczyła Meredith - zrobię wam wyśmienity świąteczny obiad.

- Za pół godziny mam spotkanie ze specami od marketingu - powiedział Rey, spoglądając na zegarek.

- A ja muszę z naszym mechanikiem przejrzeć spis przedmiotów gospodarczych, jakie trzeba nabyć - dodał Leo.

- Co sądzicie o sałatce greckiej na kolację? - zapytała Meredith. - Będzie z fetą, jajkami i czarnymi oliwkami. Jajka, rzecz jasna, zebrałam w kurniku.

- Brzmi zachęcająco - orzekł Leo.

- Uważaj na ręce przy zbieraniu jajek - mruknął Rey. - Nie widziałem ostatnio w stodołę mego wężyka.

Meredith chłodno na niego spojrzała.

- Jak spotkam tam tę bestię, wezmę ją na kij i zaniosę do stodoły - powiedziała z wyniosłą miną.

- Wiele bym dał, żeby to zobaczyć - rzekł Rey z ironią.

Ja też wiele bym dała, pomyślała Meredith, śmiejąc się z siebie w duchu.

Obaj bracia skończyli pić kawę i pogrążeni w rozmowie wyszli z pokoju.

Niebawem Meredith udała się z koszykiem do kurnika po resztę jaj. Zdenerwowały ją głupie uwagi Reya na temat węża. Na pewno znowu wpełznął do kurnika i teraz tylko czeka, by kogoś zaatakować.

Zaczerpnęła oddechu i weszła do środka. Zbliżyła się do jednego z gniazd. I zmartwiała. W gnieździe był wąż. Owinął się wokół jajek.

Trzęsła się cała ze strachu, ale przecież nie zrobi znowu z siebie widowiska. Na podłodze dostrzegła długi, gruby kij. Nie spuszczać wzroku z węża, sięgnęła po kij.

- Nie przejmuj się, stary - rzekła. - Chodzi mi tylko o to, byś opuścił to gniazdo. I nie wściekaj się. Nie zrobię ci krzywdy. - Co mówiąc, wetknęła kij pod węża i delikatnie uniosła go do góry. Wąż zachowywał się spokojnie, jeśli nie liczyć syku, jaki wydawał. Na razie więc wszystko układało się pomyślnie. Trzymała węża na kiju. I trzeba przyznać - był ciężki. Wyciągając go z gniazda, stwierdziła również, że istotnie był bardzo długi. I różnił się od tego, którego Rey zaniósł do stodoły - ten miał brązowy grzbiet, a pod spodem był biały. Nie zdradzał wobec niej złych zamiarów, więc siłą rzeczy przestała się go bać.

Wyszła z kurnika, niosąc przed sobą węża na kiju. Wyglądał zresztą na znudzonego. Skierowała się w stronę stodoły. Stojącemu przy ciężarówce jednemu z pracowników aż szczęka opadła ze zdziwienia. Ciekawe dlaczego, pomyślała. Pewno nigdy nie widział kobiety niosącej węża na kiju.

- Ładną dziś mamy pogodę - powiedziała do niego. A on milczał jak zakłęty. Wzruszyła więc ramionami i szła dalej.

W stodole wznosiły się aż po okap wielkie bele siana. Przy jednej ze ścian stało koryto i wielki pojemnik z wysuszonym i niewyłuskany ziarnem.

- Tu cię zostawię - rzekła, potrząsnęła kijem i wąż ześliznął się w niewyluskane ziarno.

Raptem przybrał atakującą postawę i wydał groźny syk.

Ma dziwny kształt łba, pomyślała. Spiczasty. Łby węży są przecież zaokrąglone. Na pewno to jakiś inny gatunek, stwierdziła.

Wyszła ze stodoły i gwizdząc jakąś melodyjkę, skierowała się znowu w stronę kurnika. Bardzo była z siebie dumna. Sama wzięła węża na kij, zaniósła go do stodoły i wrzuciła do pojemnika z ziarnem. Już nie boi się węży. To pozytywne stworzenia, jak powiedział Rey. Nie wolno zabijać zwierzęcia tylko dlatego, że budzi lęk.

Przy ciężarówce nie było już tego człowieka, ale silnik wozu był włączony i drzwi otwarte na oścież. Ciekawe, gdzie podział się kierowca, pomyślała. Gdzieś mu się spieszyło, bo nie wyłączył silnika.

Weszła do kurnika, wzięła koszyk i zaczęła szukać jajek. Było ich dużo. Ugotuje kilka do sałatki. Zamrożony szpinak, jaki kupiła, dobrze się prezentował. Braciom taka sałatka na pewno będzie smakować.

Ruszyła w stronę domu, rozmyślając o wężu i chełpiąc się w duchu swą odwagą. Powie o tym, rzecz jasna, obydwu braciom.

- Meredith!

Uderzyła ją jakaś dziwna nuta w głosie Reya. Biegł ku niej, jakby ktoś go gonił.

- Co się stało? - zapytała.

Zatrzymał się tuż przed nią. Chwycił ją mocno za ramiona, wziął od niej koszyk, postawił obok i zaczął pilnie się przyglądać jej przedramionom i dłoniom. Oddychał ciężko. Był blady.

- Nie ukąsił cię? - zapytał.

- Kto?

- Wąż! Czy wąż cię nie ukąsił?

- Oczywiście że nie - wyjąkała. - Wzięłam go na kij, tak jak ty, zaniiosłam do stodoły i wrzuciłam do pojemnika z ziarnem.

- Przynies mi mojego winchestera! - krzyknął do stojącego opodal pracownika. - Naładuj i przynieś! Szybko!

- Nic nie rozumiem - rzekła speszona Meredith. - Co się z tobą dzieje? Do czego potrzebna ci broń?

- Och, dziecinko - szepnął i nie zważając na znajdujących się przed domem ludzi, objął ją i pocałował w usta.

Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale dobrze jej było w jego ramionach. Odsunął się nagle.

- Przepraszam. Byłem w szoku. Przeraziłem się, kiedy Whit wpadł do mego gabinetu...

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Nie wiedziałaś o tym? - zapytał, patrząc w jej oczy.

- O czym miałabym wiedzieć? Wrócił z bronią jego pracownik.

- Tylko uważaj - rzekł, wręczając ją Reyowi.

- Dzięki, Whit. - Obracając się ku Meredith, powiedział: - Idę go zabić.

- Zabić węża?! - wykrzyknęła. - Nie wolno go zabijać! Jest pożyteczny, łapie szczury...

- Kochanie - rzekł przyciszonym głosem. - Niosłaś na kiju jadowitego grzechotnika.

- Co? - Wytrzeszczyła na niego oczy.

- To najbardziej jadowity wąż w całym Teksasie!

Zamurowało ją kompletnie. Niosła na kiju jadowitego gada! Zbladła, wszystka krew odpłynęła jej z twarzy. Nogi się pod nią ugięły i runęła jak długa na ziemię. Całe szczęście, że nie na koszyk z jajkami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ostatnio weszło ci to w nawyk - mruknął Rey, wnosząc ją do jej pokoju. - Nie sądziłem, że zaliczasz się do mdlejących panien.

- Miałam powód! - krzyknęła. - Niosłam przecież na kiju jadowitego węża!

- Dzielna z ciebie dziewczyna, muszę ci to przyznać. Niosłaś go przez całą drogę do stodoły, a on cię nie ukąsił! Coś podobnego!

- Syczał tylko... - rzekła drżącym głosem.

- Zjadł kilka jajek. Prawdopodobnie z przeżarcia na nic innego nie zwracał uwagi. Na twoje szczęście.

Meredith położyła głowę na ramieniu Reya.

- A ciebie nie ukąsił? - zapytała z z troskaniem.

- Nie miał szans. Nie słyszałaś wystrzału? Trafiłem go, jak wypętał na klepisko. - Roześmiał się. - Gdybym ja go nie zastrzelił, załatwiłby go mój Bandyta. Istnieje naturalna wrogość między węzami niegroźnymi dla człowieka a jadowitymi. Nie lubię zabijać nawet grzechotnika, ale w naszej okolicy nie możemy ich tolerować. Szczególnie w kurniku - dodał, spoglądając na nią z czułością.

Zadrzała i jeszcze mocniej objęła go za szyję.

- A byłam taka z siebie dumna - szepnęła. - Skąd mogłam wiedzieć... Ten egzemplarz odróżniał się, co prawda, od innych węży, ale wzór na grzbiecie miał podobny. Wiem sporo o skutkach ukąszeń, bo sama udzielałam pomocy w takich przypadkach... Nie odróżniam jednak węży jadowitych od niegroźnych, chyba że zobaczę je na obrazku i z podpisem - dodała z ironią.

- Nauczysz się. - Z czułością złożył pocałunek na jej czole. - Moja odważna dziewczynka. Nie wyobrażasz sobie, jaki byłem przerażony, kiedy Whit przybiegł do mnie z tą wiadomością...

Te jego słowa sprawiły jej wielką radość. Poczowała, że ktoś się o nią troszczy. Zamknęła oczy i cieszyła się jego bliskością, siłą obejmujących ją ramion. Takiego poczucia bezpieczeństwa nie zaznała w całym swoim życiu. Co za rozkosz znajdować oparcie w kimś tak silnym, choćby przez chwilę.

On tymczasem czuł, że nie potrafi nad sobą zapanować. A obiecywał sobie, iż nie wykorzysta sytuacji, lecz sam z trudem w to wierzył. Niemal bez udziału jego woli przywarł ustami do jej warg.

Płonał cały, patrząc na jej półprzymknięte, zamglone oczy. Ona wyczuwała jego pożądanie i syciła się nim. Zapomniała o wężu, o swoim lęku, o kręcących się na podwórzu ludziach, o wszystkim.

Leżała na łóżku, a on, całując ją, rozbierał delikatnie. Drżała pod dotknięciami jego dłoni, które pieściły ją, a te jego pieszczoty wprawiały ją w stan takiego podniecenia, jakiego do tej pory nie zaznała. Bo to, co przeżyli przedtem, tak przecież niedawno, nie mogło się równać pasji, jaką oboje czuli teraz.

- Meredith... - rzekł szeptem - musimy się opamiętać.

Nie słuchała go. Jej dłonie walczyły z jego oporami. Oddychała z trudem. Serce waliło jej jak młotem.

- Na pewno nie chcesz mnie? - zapytała. - Jeśli zajdziesz w ciążę, wyjdę za ciebie za mąż - obiecała, śmiejąc się cicho. - Masz moje słowo.

Pożądanie znikło, ustąpiło miejsca szczeremu rozbawieniu.

- Niech to szlag! Ale z ciebie numer!

- No i dobrze! Śmiejesz się, ale tak czy owak, złożyłam ci solenną obietnicę - rzekła.

Usiadł na brzegu łóżka i przecesał palcami włosy. Popatrzył na nią z góry.

- Jestem umazany szminką, przesiąknęłam twoimi perfumami. Moi ludzie skonają ze śmiechu, kiedy dołączę do nich pachnący jak pedał.

- Chodźmy do mojej łazienki, pod prysznicem zmyjemy te wszystkie zapachy - zaproponowała z szelmowską miną.

Ciekawe, pomyślał, czy przed tą tragedią, która tak fatalnie zaciążyła nad jej losem, ona była właśnie taka jak teraz? Wesoła, roześmiana? Mówiła mu, że z mężczyznami spotykała się raczej rzadko. Dlaczego nie zabiegali o względy takiej ładnej, miłej dziewczyny?

- Trudno mi uwierzyć - zaczął, nawiązując jakby do swoich myśli - że spędzasz weekendy na oglądaniu z ojcem telewizji.

- Ja pracuję.

- W czasie weekendów?

Usiadła, włożyła bluzkę. Zastanawiała się w duchu, dlaczego nie jest speszona tą sytuacją.

- Przez ostatnie pół roku pracowałam siedem dni w tygodniu - rzekła. - Przedtem sześć, a w niedzielę odpoczynek. Pracuję na ogół dziesięć godzin dziennie, a jeśli mamy ostry dyżur, to i dłużej.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Z tego wniosek, że nigdy nie masz czasu dla siebie, tak?

- Odkąd skończyłam college.

- I żaden mężczyzna... ? - zaczął.

- Był jeden, który bardzo mi się podobał. Wyjechaliśmy razem na cztery miesiące i byłam bliska zakochania się. Nigdy mnie nie dotknął. Sądziłam, że przygotowuje się do tego psychicznie, czy coś w tym rodzaju... - Westchnęła. - I wtedy zobaczyłam go... z innym mężczyzną. - Wzruszyła ramionami. - Traktował mnie jak przyjaciółkę. A ja uważałam go za swojego chłopaka. Po czymś takim straciłam wiarę w siebie.

- W naszym świecie takie rzeczy się zdarzają - rzekł bez emocji.

- Przedtem durzyłam się w chłopakach, którzy nie zwracali na mnie żadnej uwagi, chyba że prosili mnie o pomoc w matematyce czy chemii. - Poszukała wzrokiem jego oczu. - Aż do ubiegłego roku wyglądałam całkiem inaczej niż teraz.

- A jak?

Wstała z łóżka, wyjęła z portfela fotografię i podała mu ją.

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- O rany!

- Miałam nadwagę i w żaden sposób nie mogłam się jej pozbyć. Stosowałam wszelkie diety, jakie człowiek kiedykolwiek wymyślił. W końcu poszłam na kurs, gdzie dowiedziałam się, jak w rozsądny sposób pozbyć się takiej masy ciała. Stąd moja wiedza o niskokalorycznym odżywianiu.

Patrząc na jej fotografię, uśmiechnął się.

- O urodzie stanowi nie tylko wygląd zewnętrzny. Teraz jesteś piękna, ale zawsze byłaś ludziom życzliwa, skłonna do poświęceń. Dałaś temu dowód, i to nie raz. Jesteś dobrym człowiekiem. A to bardzo się liczy.

Zaczerwieniła się, przełknęła ślinę.

- Dzięki za te słowa. - Uśmiechnęła się figlarnie. - No to kiedy bierzemy ślub? W piątek czy może poniedziałek bardziej ci odpowiada?

Zachichotał.

- Przykro mi, ale mam inne sprawy na głowie.

- Znowu dostałam kosza - rzekła z westchnieniem. - Zmierzył ją badawczym wzrokiem od stóp do głów.

- Przytul się do mnie i jeszcze raz przedyskutujemy ten problem.

- Wykluczone. Na tyle silnej woli to ja jeszcze mam. Nie można uwodzić kobiety bez jej przyzwolenia. To gra nie fair.

- Dobra jesteś, dziecinko - mruknął i wstał. - Muszę wracać do roboty. Słuchaj, czym ja pachnę?

- Co?! Po kiego licha mam cię wąchać? Pochylił się i pocałował ją tak zachłannie, i przytulił tak mocno, że czuła go każdym nerwem swego ciała. Zaraz jednak odsunął się od niej.

- Czym ja pachnę? - powtórzył. Pociągnęła nosem.

- Wodą po goleniu.

- Ty nie używasz perfum, prawda?

- Nie. Mam uczulenie na większość silnych zapachów.

- Ty pachniesz kwiatami. Uśmiechnęła się.

- Ziołowym szamponem. Owszem, lubię kwiaty, ale nie ich zapach.

- A więc nie ciągnie się za mną woń babskich pachnideł - powiedział z żartobliwą nutą ulgi. - W przeciwnym razie miałbym za swoje od moich pracowników.

- A od czego jest prysznic?

Dotknął jej twarzy, policzków i rzeź, zmrużywszy oczy:

- On już nigdy nie podniesie na ciebie ręki, przysięgam ci to uroczyście - oznajmił, a w jego niskim głosie wyczuwało się groźbę.

- Czy nie stajesz się czasem zbyt zaborczy?

- Ja wcale nie żartuję - odparł bez uśmiechu. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Czy nikt dotąd nie stawał w twojej obronie? - Rey nie mógł się powstrzymać od zadania jej tego pytania.

- Mój brat. Ale przed ojcem nigdy nie musiał mnie bronić. Wiem, trudno w to uwierzyć, ale ojciec przed tą tragedią był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Gdy wypije, dostaje szału, a potem nic nie pamięta i nie wie, czego się dopuścił. - Bawiła się guzikiem koszuli Reya, myśląc o tym, że chętnie dotknęłaby jego nagiej piersi. - Tęsknię do brata - dodała.

- Wyobrażam sobie. I do matki pewno też.

- Nie łączyła mnie nigdy z matką bliska więź - wyznała. Poszukała wzrokiem jego oczu. - To, co ojciec wyrzaskiwał tamtej nocy, gdy zjawileś się u nas, to była prawda. Matka była bardzo atrakcyjną kobietą i miała kochanków. - Skrzywiła się. - Mnie było trudno z tym żyć, a co dopiero ojcu. A ona nawet chełpiła się tym...

- Jak mogła tak postępować?

- Kochała pieniądze. I dlatego brała sobie bogatych kochanków. Wstydziałam się za nią. Przypuszczam, że uważała się za kobietę nowoczesną. Ale ja wiem swoje. Co innego

sypiać z mężczyzną, którego się kocha, a co innego wskakiwać do łóżka każdego faceta, który ma kasę.

- Przez nią zraziłaś się do mężczyzn, prawda?

- Przynajmniej dopóki cię nie poznałam - dodała, nie patrząc na niego. - Masz charakterek, to prawda, ale i wspaniałe zalety.

- Muszę poinformować o tym moich braci, którzy tych zalet nie dostrzegają.

- Dzięki, że mnie tu zaprosiłeś - powiedziała nieoczekiwanie.

- Zabrzmiało to jak pożegnanie - powiedział z niepokojem w głosie.

Westchnęła.

- Nie mogę zostać tu dłużej. Nawet gdybym chciała. Mój szef jest w tej kwestii bardzo zasadniczy, a zastępująca mnie koleżanka niechętnie oddaje dzieci do żłobka. Gdy urodziła drugie, zwolniła się z pracy.

- Dlaczego?

- Bo na żłobek dla dwójki dzieci wydawała całą niemal pensję. Gdy jej mąż dostał podwyżkę, zrezygnowała z pracy i zajmuje się dziećmi i domem. Bardziej jej się to opłaca.

Twarz Reya przybrała dziwny wyraz.

- A czy ty byś chciała nie pracować i zajmować się domem i dziećmi?

Uniosła na niego wzrok.

- Tak. Pierwsze pięć lat życia dziecka to bardzo ważny okres. Zrezygnowałabym z pracy, nawet kosztem pewnych korzyści materialnych.

- Nie byłoby to na pewno takie proste. Jesteś wykwalifikowanym pracownikiem.

- Jedna moja przyjaciółka jest lekarzem. Mimo to zrezygnowała z pracy do czasu, aż jej syn osiągnął wiek przedszkolny. A i wtedy tak sobie zorganizowała pracę, by po południu być zawsze w domu.

Rey siedział ze zmarszczonymi brwiami, gładząc jej dłoń delikatnym gestem. Chciał ją zapytać, czy mogłaby się przyzwyczaić do życia na ranczu i do wężów. Bał się. Ów poddańczy akt z jego strony wręcz go przerażał. Poza tym, gdyby się zawahała, nie chciałby i nie umiał wywierać na nią presji.

- Czym się zajmuje twój ojciec?

- Prowadził wykłady na wydziale weterynarii w Houston.

- Jest lekarzem weterynarii?

- Tak. Dlaczego pytasz? Popatrzył na nią i zapytał po chwili:

- Czy po tym wszystkim, po problemach z prawem, ma szanse wrócić na to stanowisko?

- Nie. Przyszło pismo z college'u, że jest zwolniony. Trudno im się dziwić - dodała ze smutkiem. - Wykładowca alkoholik, w dodatku ze skłonnością do awantur...

- Faktycznie - przyznał Rey. - Czy on pił przed tą strzelaniną?

- Nie. Ale potem pił na umór. A o klinice odwykowej nie chciał nawet słyszeć. Teraz przynajmniej się leczy.

- I z każdym dniem coraz lepiej się czuje. Chciałby, żebyś go odwiedziła. Jeśli sobie życzysz, zawiozę cię tam w niedzielę.

- Rozmawiałeś z nim? - zapytała zdziwiona.

- Leo zadzwonił do Coltera. On ma tam znajomych. Wygląda na to, że twój ojciec jest na dobrej drodze do zwalczenia nałogu. Poza tym pamiętaj, co ci obiecałem: on już nigdy nie podniesie na ciebie ręki.

- Na trzeźwo nigdy mnie nie uderzył. Aż trudno mi uwierzyć, że on... po tym wszystkim chce mnie widzieć.

Rey potarł dłonią policzek.

- On cię kocha. I na pewno ty też go kochasz. Nie odrzuca się ludzi dlatego, że popełnili błąd, nawet najbardziej obrzydliwy.

- Staralam się pomóc ojcu.

- Nie wątpię. Ale odwyk pomoże mu najskuteczniej. Gdy wróci do domu, zastanowimy się, co dalej. Na razie pojedziemy w niedzielę do Houston. Co ty na to?

- Bardzo się cieszę - rzekła i spojrzała na niego z wdzięcznością. - Zrobisz to dla mnie?

- Wszystko dla ciebie zrobię, dziecinko - powiedział. - Dla jedynej kobiety, która mi się oświadczyła. - Odsunął od siebie jej ręce. - Muszę wracać do roboty. Zostawiłem dla ciebie dwunastu moich pracowników, którzy siedzą teraz w sali posiedzeń nad szklankami z wodą i bez popielniczek. A co najmniej połowa z nich pali, mimo wszelkich zakazów. Wyobrażam sobie, że między szóstką palących a szóstką niepalących doszło już w tym czasie do bijatyki. Muszę wracać, i to szybko. - Otworzył drzwi, lecz zanim wyszedł, spojrzał na nią przez ramię. - I pamiętaj: trzymaj się z dala od kurnika.

- Zrobię wszystko dla mojego przyszłego narzeczonego - rzekła ze śmiechem.

Meredith była kobietą nowoczesną. Sama dawała sobie radę w życiu. Przyjemnie było jednak pomyśleć, że ktoś przy niej jest, ktoś opiekuńczy, ktoś taki jak Rey, który nie sprawiał wrażenia człowieka skorego do poświęceń. Przypomniała sobie jego pieszczoty i pocałunki. Czułość, jaką jej okazywał. Już samo przebywanie w towarzystwie tego mężczyzny było

emocjonujące. Znali się przecież od niedawna, ale miała wrażenie, jakby ich znajomość trwała całe lata. Na myśl, że miałyby wracać do Houston sama, skóra cierpła jej na karku.

Wykonywała wszystkie swoje codzienne czynności, z wyjątkiem zbierania jaj w kurniku. Dowiedziała się od Reya, że węże lubią wędrować parami, wolała więc być ostrożna i zważać na każdy swój krok.

Z racji jej wyczynów z wężem stała się popularna wśród pracowników farmy. Uchylali przed nią kapeluszy i zwracali się do niej pełnym szacunku tonem.

- To naprawdę zadziwiające - rzekła podczas sobotniej kolacji, spoglądając to na Lea, to na Reya. - Ci ludzie chyba mają dla mnie respekt.

Bracia wymienili znaczące spojrzenia.

- Żaden z nich nie niósł na kiju grzechotnika.

- Wąż pozwolił się nieść - uzupełniła.

- Otóż to - powiedział Leo. - Bo widzisz, Meredith, grzechotniki mają paskudny zwyczaj atakowania znieczuła. To, czego ty dokonałaś, graniczy z cudem. Masz w rodzinie jakichś zaklinaczy węży?

- Nie, ale Mike miał małego boa, dopóki jego pupil nie zjadł królika naszego sąsiada. Zresztą ten królik nie był stworzeniem sympatycznym. Atakował każdego, kto otwierał klatkę.

- A co stało się z tym boa?

- Mike sprzedał go jakiemuś hodowcy.

- Twój brat miał kogoś?

- Był zaręczony ze świetną dziewczyną, ze świecą drugiej takiej szukać - odparła Meredith. - Załamała się po jego śmierci. Dłuższy czas była na środkach uspokajających. Strasznie mi było jej żal.

- A co się z nią stało? - zapytał Leo.

- Z grupą misjonarzy udała się do Ameryki Południowej. Pech ją prześladował - ciągnęła. - Leciła tym samolotem, który rozbił się o skałę. Była jedną z nielicznych osób, jakie przeżyły, ale nie wróciła już do Stanów.

- Colter bardzo to przeżył - powiedział Leo. - Bo mówiąc między nami, dziewczyna Mike'a nie była mu obojętna, ale, oczywiście, nikt o tym nie wiedział.

Meredith wstała od stołu.

- Jeśli skończyliście, zmyję naczynia. Rey obiecał zawieźć mnie jutro do Houston, bym odwiedziła ojca.

- Co za szlachetny z niego facet! - wykrzyknął Leo, mierząc brata pełnym zdziwienia spojrzeniem.

- Dlatego jest dla mnie taki miły, że podobno jestem jedyną kobietą, która mu się oświadczyła - wyjaśniła Meredith z drwiącym uśmiechem. - A on dał mi kosza, i teraz mu głupio.

- To świetnie - odpalił błyskawicznie Leo. - Ja się z tobą ożenię! Wyznacz tylko datę ślubu i kupuję garnitur.

- Zamknij się! - warknął Rey i niby to żartem zamierzył się na brata.

- Chcecie mieć placki na śniadanie? - zapytała Meredith.

- Oczywiście. - Rey pocałował ją w policzek. - Idź już spać, a my sprawdzimy, co się dzieje z bydłem.

- Włóż coś na siebie - powiedziała, podając Reyowi bluzę.

Leo podążał za bratem, a na jego twarzy malował się dziwny wyraz. Dostrzegł coś, czego nie oczekiwał, czego nie sposób już było określić mianem żartu. Ciekawej zastanawiał się, czy Rey uświadamiał sobie, że jest po uszy zakochany w ich małej, uroczej gosposi. I jeśli on Leo, zna się na tym, to nie bez wzajemności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz rano Meredith siedziała w kościele obok Reya, który przez całe nabożeństwo trzymał ją za rękę. Z nikim nie czuła się tak jak z nim. Silna, pewna siebie, bezpieczna.

Popatrzyła na niego, gdy śpiewał hymn, a on speszył się i zapomniał słów, a ponieważ i jej słowa się pomyliły, zamilkli oboje.

Po nabożeństwie rozbawił ich zaciekawiony wzrok sąsiadów, którzy słyszeli już o nowej gosposi braci Hartów. Reyowi dało to asumpt do przedstawienia Meredith niektórym osobom i nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że jest dyplomowaną pielęgniarką.

Meredith zaczerwieniła się, bo zabrzmiało to tak, jakby był z niej dumny. A gdy opowiadał, jak jej szybki refleks uratował życie Billy'ego Joe, który był w sąsiedztwie szczególnie lubiany, ciekawość ludzi ustąpiła miejsca nieskrywanej życzliwości.

- Zyskałaś już niemałą popularność - powiedział żartobliwie. - A przecież nawet nie wspominałem o wężu.

- Wykreślmy z pamięci ten incydent - zaproponowała.

- W żadnym wypadku. Prestiż mój rośnie, skoro mam... kucharkę, która nie boi się nawet jadowitych węży.

Wyczuła jego wahanie przed słowem „kucharka”, jak gdyby chciał wypowiedzieć inny rzeczownik. Zadrżała. A gdy szli w stronę jaguara przerobionego na kabriolet, nie mogła przestać się uśmiechać.

- To hałaśliwy samochód - rzekła, gdy pomagał jej wsiąść do auta.

- Lubię sportowe wozy - powiedział.

- Ja też - przyznała. Wyjęła spinki z włosów, które opadły jej na ramiona.

- Nie potargają się na wietrze? - zapytał, gdy już siedzieli zapięci pasami.

- Niech się potargają. Lubię czuć wiatr we włosach.

- Ja też.

Włączył silnik i wjechali na autostradę, na której pozwolił poszaleć swojemu samochodowi.

Meredith była zachwycona. Jest cudownie, myślała upajając się pędem, wiatrem i obecnością Reya.

Stanowczo za szybko znaleźli się przed nowoczesnym dwupiętrowym gmachem, którego funkcję określał dyskretny szyld u boku drzwi.

Było to centrum rehabilitacji dla osób uzależnionych i stosujących przemoc, nad którymi czuwała cała rzesza psychologów, psychiatrów, rehabilitantów, a nawet internistów.

Po zasięgnięciu informacji poszli na pierwsze piętro, do niewielkiego pokoju, do którego pielęgniarka miała przyprowadzić ojca Meredith.

- W pierwszym tygodniu pobytu tutaj goście nie są mile widziani - powiedział Rey. - Na pewno wiesz o tym.

- Nigdy nikogo tu nie odwiedzałam - rzekła spokojnie, lecz widać było, że jest spięta.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - rzekł.

Dały się słyszeć kroki i przytłumione głosy.

Minutę później w drzwiach pojawił się ojciec Meredith, a za nim weszła do pokoju kobieta w białym fartuchu, z notatnikiem w ręce.

- Córka pana Johnsa? - zapytała. - Nazywam się Gladys Barlett - przedstawiła się, uściskawszy dłonie gościom. - Jestem psychologiem i prowadzę pani ojca.

- Jak się masz, Merry - rzekł jej ojciec po chwili wahania. Skrzywił się, patrząc na twarz córki. - Przepraszam cię, kochanie - wykrztusił.

Meredith podeszła do niego i czule go uścisnęła. Zamknął oczy, usta mu drżały i łzy popłynęły po jego bladych policzkach.

- Tak mi przykro, córeczko... Ona również się rozplakała.

- Dobrze, już dobrze, tatusiu - szepnęła łamiącym się głosem. - Nie martw się. Wszystko dobrze się skończy.

- Mój syn... Powiedziałem, że nie mam czasu iść z nią do banku. Poprosiłem go... poprosiłem Mike'a, by jej towarzyszył. Gdyby nie ja, żyłby!

- Rozmawialiśmy już o tym niejednokrotnie - rzekła pani psycholog. - Nie może się pan winić za zbrodnie innych. To był przypadek, jeden na sto.

- I właśnie ten jeden na sto mnie się przytrafił! - wykrzyknął. - Jestem winny i nie mogę żyć z tą świadomością!

- Ja mam podobne odczucia - wyznała Meredith.

- Mogłam tego dnia nie iść do pracy i zabrać mamę do banku.

- I zginęłabyś! - odparował ojciec. - A moje poczucie winy byłoby tak samo nie do zniesienia.

- Oboje błędnie rozumujecie - rzekł Rey, wstając.

- Życiem nie daje się sterować. - Stał z rękami w kieszeniach, patrząc gdzieś w dal. - Einstein powiedział, że Bóg nie gra w kości z wszechświatem, i miał rację. Nawet w pozornym chaosie istnieje jakiś ład, ciąg wydarzeń tworzących łańcuch i wiodących

nieuchronnie do określonego celu. A ludzie są jak ogniwa tego łańcucha, lecz nie mogą nim powodować.

- Studiował pan filozofię? - zapytał Johns. Rey skinął głową.

- I ja miałem zajęcia z filozofii - rzekł starszy pan.

- Ma pan stopień naukowy? - zapytał.

- Magistra ekonomii z Harvardu - odparł Rey, uświadamiając sobie, że Meredith usłyszała o tym po raz pierwszy.

- Ja jestem doktorem weterynarii...

- Wiem. Pańska córka mieszka u nas na ranchu w Jacobsville i pracuje u nas, póki nie dojdzie do siebie.

Doktor Johns spieszył się.

- Powiedziano mi, jak cię skrzywdziłem - rzekł, spoglądając z pokorą na Meredith. - I przysięgam na Boga, że do końca życia nie sięgnę po kieliszek.

- Nie będzie pan miał tej szansy - oświadczył Rey.

- Bo będę miał pana stale na oku i nic nie ujdzie mej uwagi.

- Słucham? - wyjąkał Johns.

Rey wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Nie mamy weterynarza na naszej farmie. Za każdym razem wzywamy lekarza aż z Victorii. Byłoby dobrze mieć fachowca na miejscu. Pensję płacimy konkurencyjną i miałby pan domek do dyspozycji...

- Młody człowieku, ja...

Rey spojrzał mu prosto w oczy.

- Popełnił pan błąd. To ludzka rzecz. I przestroga na przyszłość. Proponuję więc panu pracę u nas, gdzie nie będzie miał pan okazji do spotkań z kolegami, które, jak wiadomo, różnie się kończą. Będziemy nad panem czuwać. Polubi pan życie na ranchu i ludzi tam pracujących.

- A jeśli dowiedzą się, co zrobiłem?

- Wszyscy już o tym wiedzą - rzekł Rey, wzruszając ramionami. - I mało ich to obchodzi. Pracował u nas facet po odwyku kokainowym i inny, który przez sześć lat łykał prochy, i obydwu pomogliśmy wyjść na prostą.

- Uśmiechnął się. - Dopóki człowiek pracuje i nic mu nie można zarzucić, jego przeszłość nie ma dla nas znaczenia.

- Młody człowieku - rzekł Johns, pokonując wzruszenie. - Mogę pracować u was za darmo, jeśli już o tym mowa. I obiecuję solennie, że nigdy pan nie pożałuje swego kroku.

- Pozałuję, jeśli nie przestanie pan zwracać się do mnie per „młody człowieku” - rzekł z uśmiechem. - Nazywam się Reynold Hart, ale wszyscy mówią mi Rey. Jak długo będą cię tu trzymać? - zapytał, kierując wzrok na panią psycholog.

- Jeszcze następny tydzień - odrzekła. - Bardzo jestem rada, że po wyjściu stąd trafi do takiego środowiska. Nie wierzę w cuda, ale, jak widać, zdarzają się.

- Cuda zdarzają się ludziom, którzy w nie wierzą - powiedział Rey.

- Dziękuję ci - szepnęła Meredith.

- Jak mógłbym nie zadbać o ojca jedynej kobiety, która mi się oświadczyła - powiedział i spojrzął na nią tak, że spłonęła rumieńcem.

- Ty mu się oświadczyłaś? - zapytał ojciec, marszcząc brwi.

- Kilkakrotnie - odparła z żartobliwą nutą w głosie.

- Ale on zawsze mówił, że ma inne sprawy na głowie.

Johns roześmiał się serdecznie.

W drodze powrotnej Meredith nie posiadała się z radości.

- Będzie pracował, i w dodatku wśród dużych zwierząt, o czym zawsze marzył.

- Lubi było? - zapytał zdawkowo Rey, ciesząc się radością swojej pasażerki.

- Wychował się na ranchu w Montanie. A nawet jako chłopak brał udział w rodeo. No i zna swój zawód od podszewki.

- Nadejdzie dzień, gdy wróci na uczelnię. Radziłbym mu jednak wybrać inny ośrodek akademicki.

- Dziękuję ci, że dałeś mi tę szansę - powiedziała.

- Miałem w tym pewien ukryty cel - mruknął pod nosem. - Bo kiedy go tu odwiedzisz, upieczesz nam przy okazji placki.

- Możecie na to liczyć - obiecała.

- Za wcześnie jeszcze o tym mówić, ale gdybyś tylko chciała zostać u nas, Micah Steele zaproponowałby ci na pewno pracę w swoim gabinecie.

- Lubię Jacobsville - powiedziała tylko.

- A ja lubię ciebie - odrzekł.

- Ja też cię lubię i jeśli dasz mi teraz swoją komórkę, to zadzwonię do kapłana i ustalimy datę ślubu.

Roześmiał się.

- Małżeństwo to poważna sprawa. Musimy się lepiej poznać. Wiem, że potrafisz ujarzmić węże i ratować ludzi przed niechybną śmiercią, że pieczesz świetne placki. Ale nie wiem, jak wyglądasz w sukni wieczorowej, i czy umiesz tańczyć.

- Wyglądam świetnie. I uwielbiam tańce latynoskie.

- Ja nie. Lubię te wolne, na dwa pas.

- Ja też je lubię.

- A jakie książki lubisz czytać?

I tak toczyła się rozmowa o sprawach, którymi oboje interesowali się, o których oboje chętnie dyskutowali. Dobrze się zapowiada, pomyślała Meredith.

W następnym tygodniu Meredith podejmowała pracę w Houston. W piątek była już spakowana. Nazajutrz, w beżowym kostiumie, podążała za Reym niosącym jej walizkę.

- Wrócę przed wieczorem - powiedział do Lea. - W razie czego dzwoń na komórkę.

- Jakoś sobie poradzę - odparł Leo, mrugnawszy do Meredith. - Będzie nam cię brak, dziewczyno. I dziękujemy za te stosy placków, jakie nam upiekłaś.

Niechętnie wracała do miasta, choć przecież lubiła swoją pracę. Będzie tęskniła do Reya, do Lea, do atmosfery ich domu.

- Możesz nas odwiedzać, kiedy tylko zechcesz - powiedział Rey, widząc jej zaszępialoną minę. Choć drogo go to kosztowało, ani razu nie ujął jej za rękę. W najbliższej przyszłości dokona frontalnego ataku - tak sobie postanowił. Ale jeszcze ta pora nie nastąpiła.

- Wiem. - Patrzyła przez okno na огоłocone z liści drzewa i jesienny ponury krajobraz. - Niedługo mamy Święto Dziękczynienia - dodała.

- Twój ojciec będzie już w tym czasie u nas pracował. Mogłabyś spędzić z nami tych parę wolnych dni.

- Jeśli nie wypadnie mi dyżur.

Zachmurzył się, słysząc te słowa. Włączył muzykę i już do końca jazdy słowem się nie odezwał.

Wysiadła przed domem ojca. Wyglądał ponuro, niegościnnie. Od progu obejrzała się na Reya. Nie zdjął kapelusza i rondo zasłaniało mu twarz.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała. Poczuł się nagle tak, jakby coś utracił.

- Mieszkasz tu sama - rzekł. - Pamiętaj o zamykaniu drzwi. O ile mi wiadomo, te typy, które napadły na Lea, wciąż są na wolności. Nie rezygnuj z ochrony.

- Dam sobie radę - powiedziała.

Stała przed tymi drzwiami taka mała i bezbronna. Wolałby nie zostawiać jej samej.

- Noś kurtkę w taką pogodę jak dziś - przypomniała mu, widząc, że stoi na wietrze tylko w lekkiej bluzie.

- A gdy będzie padać, włożę płaszcz - obiecał jej z uśmiechem. - Tobie też radzę to samo.

- Do widzenia - rzekła po chwili ciszy.
- Nie mówmy sobie "do widzenia", lepiej „na razie”.
- No to na razie.

Rey nie odjeżdżał jednak. Stali i milczeli.

- Wiem, gdzie o tej porze otwarty jest sklep jubilerski - rzekła nagle żartobliwym tonem.

- Naprawdę?
- Można tam nawet kupić nieduży pierścionek z brylantem.

W oczach zamigotały mu iskierki.

- Któregoś dnia porozmawiamy o tych twoich małżeńskich zakusach wobec mnie. Ale teraz mam...

- ...tyle spraw na głowie - dokończyła za niego. - Ja cię chyba zabiję!

Roześmiał się.

- Początek ten, ale koniec inny. A więc mam przedłożyć na zebraniu strategię marketingu na rok następny, którą muszę opracować. Będzie mi ciebie brak - ciągnął po chwili milczenia. Podszedł do niej i ujął jej twarz obiema dłońmi. - Cierpię męki, gdy cię nie widzę - szepnął. - Wróc jak najszybciej. - Pocałował ją w policzek i ruszył w stronę swego wozu. - Zadzwoń do ciebie! - krzyknął, wsiadając.

Odprawiała wzrokiem jego auto, póki nie znikło za zakrętem. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i rozplakała się na cały głos.

W pracy zajęła się licznymi o tej porze roku pacjentami i nie miała czasu na smutki. Co nie oznacza, że nie tęskniła do Reya.

Trzy dni przed Świętem Dziękczynienia zadzwonił do niej ojciec z rancza Hartów. Nie miał słów zachwyty nad swoją nową pracą. Głos miał radosny, niemal młodzieńczy. Nie ten sam człowiek, pomyślała Meredith. Powiedział, że w dalszym ciągu chodzi na zajęcia terapeutyczne, ale z tutejszym psychologiem. Czuje się znacznie lepiej i zrobi wszystko, żeby ona, Meredith, była z niego zadowolona.

- Czy przyjedziesz do Jacobsville na Święto Dziękczynienia? - zapytał.

Nie mogła pojechać do Jacobsville, bo i tak wiele dni opuściła i nie miał jej kto zastąpić. A pacjentów było mnóstwo. W efekcie dysponowała tylko jednym dniem urlopu, a i wtedy musiała być pod telefonem.

W czasie pobytu na ranczu poznała smak całkiem innego życia. Ze wzruszeniem wspominała ten okres i z każdym dniem coraz bardziej tęskniła do Reya.

Ojciec obiecał, że skoro ona nie może przyjechać do Hartów, to on przyjedzie do Houston, by razem z nią spędzić święto. Ucieszyła się, że nie będzie sama w ten uroczysty dzień.

W Święto Dziękczynienia Meredith wstała o świcie, by przygotować świąteczny obiad. Kupiła szynkę, indyka i wszystkie niezbędne składniki.

Wyjmowała właśnie paszteciki z piekarnika, gdy usłyszała zatrzymujący się przed domem samochód. Nie ściągnęła nawet fartucha ani nie zaciesała włosów, tylko szybko pobiegła do drzwi. Otworzyła je w momencie, gdy ojciec wraz z Reym wchodzili na ganek.

- Wesółych świąt - powiedział ojciec i czule ją uściskał.

- Pomyśleliśmy sobie, że należałoby ci pomóc w zjedzeniu tych wszystkich smakowitości - rzekł Rey z uśmiechem.

- Nie upiekłam placek, tylko paszteciki - zastrzegła się.

- Uwielbiam paszteciki. - Rey wyciągnął ku niej ramiona. - Mogłabyś przytulić do serca tego, o którego rękę się starasz. Nie wypowiem słowa „tak” na odległość dwóch metrów.

Ojciec kaszlnął znacząco:

- Zajrzę do indyka - powiedział i poszedł do kuchni.

Rey całował ją tak zachłannie, jakby całą swoją tęsknotę do niej chciał tym wyrazić.

- Udusisz mnie - szepnęła.

- Przestań narzekać i całuj mnie tak jak ja ciebie!

- Ja wcale... nie narzekam - zdołała wypowiedzieć.

- A ja tak! - wykrzyknął niemal. - Dziewczyno, chcę cię mieć!

- Tutaj? - zapytała z lękiem w oczach.

- Daj ojcu forszę i niech idzie po papierosy! - powiedział z komiczną desperacją w głosie.

- Ani on nie pali, ani ja.

- Wybacz, nie gniewaj się na mnie. Boże, jak ten czas mi się dłużył!

A ona, odwzajemniając jego pieszczoty, czuła ogromną radość, była szczęśliwa, bezgranicznie szczęśliwa.

- Wiesz co - powiedział ze śmiechem - zamkniemy ojca w kuchni, a ty zgwałcisz mnie na tym dywanie.

- Nic z tego - rzekła. - Nie zgwałcę cię, póki nie zgodzisz się mnie poślubić.

- Czy to oświadczyły? - zapytał.

- Oczywiście. Mogę ci nawet dać pierścione - odparła. - Znajdę jakiś w szkatułce.

- Jutro rano zadzwonię do pastora - rzekł. - Ty u siebie w pracy daj krew do analizy, moją przetestował już Micah Steele. Powiedział mi przy okazji, że chętnie zatrudni cię u siebie. Moglibyśmy wziąć ślub w Boże Narodzenie, w Jacobsville.

Myśli wirowały jej w głowie, wszystko jej się plątało.

- Krew... do analizy? Praca u Steele'a? Ślub w Boże Narodzenie? Nie kojarzę.

- Nieważne... - mruknął. - Ty możesz mi dać pierścionek, kiedy zechcesz, ale ja wręcę ci go już teraz. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął aksamitne jubilerskie pudełeczko. Otworzył je. Meredith ujrzała niezwyklej urody medalion ze szmaragdem i pierścionek z brylantem otoczony szmaragdami. - Jeśli ci się nie podoba, kupimy coś innego.

- Bardzo mi się podoba! - wykrzyknęła zaszokowana nagłym obrotem spraw.

- No to świetnie! - Wsunął pierścionek na jej palec. - Załatwione! Jesteśmy już zaręczeni.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć! - powiedziała Meredith.

- Ani ja. Jak wiesz, długo ci nie dowierzałem, ale nawet wtedy chciałem być zawsze blisko ciebie. Ubiegły tydzień włókł mi się w nieskończoność. A sądziłem, że potrzebuję paru tygodni na przemyślenie sprawy. Tymczasem stwierdziłem, że bez ciebie czuję się bezgranicznie samotny. - Odchylił głowę i spojrzał w jej szeroko otwarte, pełne zdumienia oczy. - Kocham moją wolność. Ale nie tak jak kocham ciebie.

- I ja cię kocham, Rey - rzekła. - Też czułam się samotna. A teraz mam wrażenie, że znamy się od lat.

- Ja też - przyznał. - Będziemy na pewno dobrym małżeństwem.

Całowali się, gdy do pokoju wkroczył ojciec Meredith z udkiem indyka w ręku i zapytał, czy można już całość wyjąć z piekarnika. Rey obwieścił mu nowinę, a Meredith podjęła błyskawicznie akcję ratunkową.

Z dwutygodniowym wyprzedzeniem Meredith złożyła rezygnację w pracy, czym zaskoczyła i zmartwiła swego szefa. Rozumiał jednak, że nie może mieszkać w Jacobsville, a pracować w Houston, i wręczył jej prezent ślubny w postaci pięknie szlifowanej kryształowej wazy.

Micah Steele zaproponował jej pracę u siebie, na co chętnie się zgodziła, z tyra jednak warunkiem, że będzie pracować tylko trzy razy w tygodniu. Micah, jako młody małżonek, rozumiał ją i nie stawiał żadnych przeszkód.

Jedyny problem w tej całej sprawie wynikał z faktu, że, ku przerażeniu Meredith i konsternacji Reya, jego wszyscy bracia skrzyknęli się i postanowili zorganizować im wesele.

- To będzie wesele super - rzekł Leo, zacierając dłonie. - Cag ma świetny pomysł.

- Nie chcę o niczym słyszeć - powiedział Rey stanowczo.

- Na pewno będziesz zadowolony. - Leo zignorował wściekłą minę brata. - Chłopcy ściągną z Montany ten rockowy zespół, który zagra na twoim weselu swój najnowszy przebój. Zatrudnią też tę babkę z San Antonio, która przygotowuje szwedzki bufet. A ślubne stroje sprowadzą z któregoś z paryskich domów mody.

- Nie znacie nawet moich rozmiarów - powiedziała Meredith.

- Zajrzeliśmy do twojej szafy, a nawet do szuflad, po rozmiary bardziej osobiste. - Uśmiechnął się skonfundowany Leo. - Nasza nowa bratowa musi mieć najpiękniejsze rzeczy.

Meredith nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- Zarezerwowaliśmy wam na miesiąc miodowy apartament w pięciogwiazdkowym hotelu - ciągnął Leo, spoglądająca na Reya. - Znacie francuski, prawda?

- Francuski? - powtórzyła Meredith.

- Bo ten hotel znajduje się w Nicei. Na Riwierze Francuskiej. Wspaniały widok na plażę.

Rey aż zagwizdał.

- Niezły początek - rzekł.

- Staraliśmy się. Zamówiliśmy nawet stroje na różne okazje. Meredith lubi chyba pastelowe kolory?

A Meredith siedziała bez ruchu, z otwartymi ustami. Robiła wszystko, żeby nie zemdleć. Uświadomiła sobie teraz, że te cudaczne opowieści Tess o weselach braci Hart to najszersza prawda.

- Porwaliście Dorie i z opaską na oczach zawieźliście do domu, gdzie czekał na nią Corrigan.

- Bardzo są teraz szczęśliwi - oznajmił Leo.

- Jesteście zwykłymi chuliganami.

- Przyświecały nam dobre intencje.

- Kazaliście Callaghanowi, żeby ożenił się z Tess!

- Też są szczęśliwi.

- A nieszczęsna Tira? Nie mogła nawet sama wybrać sobie sukni ślubnej.

- Była w ciąży. Musieliśmy się spieszyć.

- Ale ja nie jestem w ciąży! - wykrzyknęła Meredith.

- Jak na razie. - Leo obrzucił Reya znaczącym spojrzeniem.

- Chcę sama urządzić własne wesele... - zaczęła wyprowadzona z równowagi i pomyślała zaraz: chcą mnie zagłaskać na śmierć.

Leo spojrział na zegarek.

- Przepraszam, ale muszę już iść. Mam sprawdzić tekst przed wydrukowaniem.

- Jaki tekst? - zapytała groźnie.

- Zaproszeń na wesele. Zapewniamy nocleg zaproszonym gościom. Przyjeżdża gubernator, sekretarz gubernatora. Miał być wiceprezydent, ale, niestety, nie może... - Zmarszczył brwi, sięgnął do kieszeni. - Są! Zapisano mi pytania do wywiadów. - Podał Reyowi dwie złożone kartki. - Zapoznajcie się z tym, zanim dopadną was fotoreporterzy.

Meredith i Rey wymienili spojrzenia.

- No, kilku. - Leo machnął ręką niedbale. - Z CNN, z Fox, paru z prasy zagranicznej...

- Zagranicznej?! - wykrzyknęła Meredith.

- Podpisaliśmy ważną umowę z Japonią, czyżbym ci o tym nie wspomniał? Oni przepadają za ekologiczną wołowiną.

Pomachał im, wsiadł do furgonetki i odjechał.

- Zaproszenia - recytowała Meredith. - Stroje. Miesiąc miodowy. Reporterzy! To straszne!

- Nie przesadzaj - rzekł Rey, biorąc ją w ramiona. - Pomyśl tylko, ile pracy ci oszczędzili. Powiesz tylko „tak” i odleczysz na Riwierę ze swoim nowo poślubionym małżonkiem.

- Ale... - jęknęła.

- Jesteś pielęgniarką, a ja cierpiącym pacjentem, którego w ciągu jednej nocy wykurujesz. A moi bracia lubią spełniać dobre uczynki, choć czasem ludzie wcale nie są tym zachwyceni.

A wesele było przepiękne! Meredith miała na sobie strój, jakiego nigdy nie dane jej było nawet oglądać. Jedwab, koronki, długi welon i bukiet wspaniałych białych róż. Ojciec poprowadził ją do ołtarza, a wszyscy czterej bracia Reya byli друзbami.

Na ślub przybyli prawie wszyscy mieszkańcy Jacobsville. Ale Meredith nie widziała nikogo, wpatrzona w swego przystojnego małżonka, który był równie jak ona szykownie ubrany. Wymienili obrączki i Rey powoli uniósł welon zasłaniający twarz żony. Patrzył na nią z miłością i z jakąś uroczystą powagą. Pochylił się i pocałował ją czule.

Przed wieczorem, po długiej, nużącej podróży - najpierw samolotem, potem samochodem wynajętym na lotnisku - Meredith i Rey zasiedli do obiadu w swoim eleganckim apartamencie z widokiem na morze. Słońce chyliło się ku zachodowi, wspaniałymi barwami malując niebo.

- Zapowiada się piękna noc - powiedział Rey.

Miał rację, noc była bardzo piękna.